POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 19-go października 1940r.*** **Rok II. Nr. 32**

Nakazy polityki Bolesława Chrobrego dla nowej Polski

Po zwycięskim zakończeniu obecnej wojny z Niemcami—przy stole obrad konferencji pokojowej, która ustalać będzie zachodnią (i północną) granicę—pamiętać będziemy o naszych prawach do ziem nadodrzańskich, jako o sprawie istotnych i zasadniczych wymagań polskiej racji stanu.

Interesy polskie nad Odrą rozumiał w pełni i pilnował ich nasz pierwszy król, doskonały i przezorny polityk, Bolesław Chrobry. Powziął on genialny plan polityczny, polegający na *utworzeniu jednego, wielkiego państwa zachodnio-słowiańskiego,* złożonego z ziem polskich, czeskich i Słowian nadłabskich, którego ośrodkiem byłaby Polska. Plan ten już zaczął urzeczywistniać z chwilą zajęcia Czech i wkroczenia w 1003 r. do Pragi (sami Czesi poddali się jego rządom). Zająwszy Pragę, Bolesław Chrobry jednoczy obie monarchie, które Piastowie i Przemyślidzi zbudowali w X-ym wieku. Czuje się on dość silny, by Niemcom rzucić rękawicę i odmówić cesarzowi Henrykowi II hołdu z państwa czeskiego, a pobratymczych Słowian nadłabskich, nad którymi zaciążyła władza niemieckich margrabiów, pragnie wcielić do swego państwa. Niestety, ten jego plan został udaremniony z winy książąt czeskich i gdy w roku następnym Chrobry ustąpił z Pragi wraz z tym groźne dla Niemiec widmo wielkiej słowiańskiej potęgi znika z widnokręgu historii.

Należy bezstronnie stwierdzić, że Polska Bolesławów broniła swej własnej i Słowian zachodnich niepodległości w walce z Niemcami. Jest więc nasz Chrobry poprzednikiem dzisiejszej myśli tworzenia bloków państw, które po obecnej wojnie mają widoki powstania. Spodziewać się należy, iż nowa Polska i nowa Czecho-Słowacja, złączone sojuszem, potrafią utworzyć potężny blok zachodnio-słowiański, który położy tamę naporowi niemieckiemu na słowiańskie ziemie.

Bolesław Chrobry stale kierował baczny swój wzrok ku Zachodowi, z tamtej upatrując strony istotne niebezpieczeństwa dla Polski. Nic więc dziwnego, że granicę zachodnią swej monarchii starał się jak najbardziej ufortyfikować. Nad rzeką Bobrem i Kwissą zbudował Chrobry system fortyfikacyjny podwójnych rowów. Na dalszych odcinkach tej granicy sama rozlewna Odra, ta "wierna rzeka Bolesławów," przez swą głębokość i szerokość była naturalną przeszkodą dla wroga, a nadto puszcze leśne, bagna i góry (Sudety) stanowiły wał obronny.

Słabsze i czulsze miejsce na swej zachodniej granicy zabezpieczył Chrobry przez założenie (za wzorem Karola Wielkiego) marchij. Marchie te stanowiły przedpola w obronie ważniejszych przejść na tej granicy. Tak więc marchia *łużycka* zabezpieczała przejścia dolnej Odry, marchia *morawska*—przejścia na Śląsk z ziemi kładzkiej (przełom Nissy śląskiej w Sudetach) oraz do Małopolski przez bramę morawską i szlak między górną Wisłą, marchia *słowacka* — przełom Popradu i linię Dunajca, a wreszcie marchia Grodów Czerwieńskich—szlaki od południowego wschodu (t.j. Dniestru, Sanu i Bugu).

Zapasy wojenne Chrobrego z Niemcami kończą się jego tryumfem. Orężem nie tylko utwierdził on państwo, którego zguba była przez cesarstwo postanowiona, lecz nawet rozszerzył jego granice. Trzymał on stale na wodzy Niemców i dawał się im dotkliwie we znaki, czego wyrazem była krótka, ale jakże charakterystyczna notatka kronikarza niemieckiego na wieść o zgonie Bolesława: "*obiit Boleslaus, persecutor noster*"—zmarł Bolesław, nasz prześladowca. Chrobry znał dobrze dążenia Niemców i nigdy nie pozwolił uśpić swej czujności. Granicę zachodnią jego państwa stanowiła dolna Odra, jej lewobrzeżne dopływy Kwissa z Bobrem i Sudety, z równoczesną troską o utrzymanie wpływów na ziemiach słowiańskich aż do Łaby.

Podkreślić należy, że dopóki stolicą Polski było Gniezno, dopóty wzrok Polski skierowany był na północ i zachód; a z przeniesieniem jej do Krakowa już słabiej na zachód, gdyż polityka zagraniczna Polski kierowała się wtedy przede wszystkim na południe i południowy wschód, a z chwilą, gdy stolicą Polski stała się Warszawa — polityka jej zwróciła się przede wszystkim na wschód. Cofanie się terytorialne Polski na zachodzie, jej ustępowanie z linii Odry, pozostawało m. in. w ścisłym związku z utratą odcinków (biegów) tej rzeki, i tak: utrata przez Polskę dolnej Odry (zachodniego Pomorza) w XII-ym w., spowodowała utratę jej średniego biegu w XIII-ym w., a wreszcie i górnego jej biegu (Śląska) w XIV-ym wieku. Kto bowiem utraci dolny bieg danej rzeki wraz z jej ujściem, ten skazany jest z czasem na utratę całej rzeki,—takie jest już prawo geograficzne.

Odrodzona Polska, po wojnie światowej, otrzymała traktatem wersalskim, zachodnią i północną granicę wbrew wszelkim przesłankom rozumowym, politycznym, ludnościowym, gospodarczym i wojskowym. Nie można było wykreślić gorszej granicy dla Polski. W traktacie tym leżało już zarzewie obecnej wojny. Pozostawienie przy Niemczech etnicznie polskiego Śląska Opolskiego oraz wyspy wschodnio-pruskiej, oddzielonej od Rzeszy wąskim tylko pasmem polskiego Pomorza i utworzenie obszaru W. M. Gdańska, a więc zakorkowanie Polsce ujścia głównej jej rzeki,—były błędami, które uniemożliwiały Polsce obronę tych granic. Polska nie z własnej winy czy zaniedbania nie otrzymała takiej granicy od strony Niemiec, jakiej w Wersalu żądała. Wiadomo wszystkim kto ponosi winę takiego a nie innego rozstrzygnięcia tej sprawy. Znane osobistości świadomie czy nieświadomie pracowały i działały *pour le roi de Prusse.*

Popełnione wówczas błędy mszczą się dzisiaj okrutnie i trzeba za nie tak drogo płacić. Błędy traktatu wersalskiego nie mogą już być powtórzone. Polska by mogła być ostoją i strażniczką pokoju na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim, musi otrzymać *cały obszar Prus Wschodnich,* bardzo rzadko zaludnionych i ku swemu geograficznie naturalnemu, polskiemu, zapleczu ciążących; musi otrzymać *Gdańsk,* a więc wolne ujście Wisły; musi otrzymać *całe Pomorze* (w niemieckiej części również bardzo słabo zaludnione). Wtedy naturalną jej północną granicę stanowić będzie, na długiej przestrzeni, Bałtyk. Mając taką granicę północną będzie miała widoki rozwoju morskiego i gospodarczego.

Zachodnią zaś granicę Polski stanowić musi linia, biegnąca w oddaleniu najmniej *kilkunastu kilometrów na zachód od dolnej Odry,* a następnie ku górom czeskim. Linia samej Odry nie może stanowić naszej granicy, gdyż—w dzisiejszym pojęciu—rzeka nie dzieli, ale łączy pewne obszary. Tak przeprowadzona zachodnia granica Polski skróci naszą linię graniczną z Niemcami, Odra będzie na całej swej długości w niepodzielnym władaniu Polski i będzie w swym dolnym biegu (możność jej rozlania) przeszkodą strategiczną, a ze względów gospodarczych będzie mogła być swobodnie wykorzystana (biorąc pod uwagę jej prawobrzeżne dopływy oraz śląskie zagłębie węglowe) przez gospodarkę polską.

Polska okazała się sojusznikiem, na którego słowo i wierność liczyć można, a więc i ona ma pełne prawo liczyć na otrzymanie nakreślonych tu granic zachodniej i północnej.

Nakazy polityki Bolesława Chrobrego wskazują nowej Polsce dwa kierunki, t. j. utworzenia bloku zachodnio-słowiańskiego, złożonego z Polski, Czech i Słowacji oraz szerokiego *oparcia się Polski o Bałtyk na przestrzeni od ujścia Odry do ujścia Niemna* (z portami Szczecin, Gdańsk, Królewiec i Kłajpeda) i *przeprowadzenia jej zachodniej granicy na zachód od Odry dolnej z włączeniem do Polski północnych ziem nadodrzańskich i całego historycznego Śląska.*

Takie są minimalne żądania Polaków w sprawie zachodniej granicy. Półtora milionowa ludność niemiecka tych ziem (nie licząc w tę cyfrę rodzin bardzo rozbudowanej tutaj administracji niemieckiej i garnizonów wojskowych): ulotni się z nich w sposób, stosowany obecnie przez Hitlera do Polaków. Miejsce jej zajmą Polacy bezrolni oraz emigranci polscy, szukający chleba na obczyźnie, a w ten sposób rozwiąże się zarazem sprawę bezrobocia i emigracji.

Obóz Polski, we wrześniu 1940 r.

Franciszek Lenczowski

PRZELOTNE PTAKI

Lecimy górą, ptaki przelotne,
które wiatr spędził ze zwykłych szlaków.
Przyszły dni burzy. Drogi powrotnej
nie widać jeszcze. Żadnego znaku
nie dało słońce. Burza nas dręczy,
a dołem tylko kłębią się fale ...
i tylko wicher skowytem jęczy
w zapamiętałym gniewie i żalu.
Nawykłe lotów skrzydła nas niosą,
lecz chybocące i umęczone,
i ustające serca już głoszą
najrozpaczliwszą swą antyfonę.
Burza piorunna wije się, wyje
i pociskami niebo omiata. . . .
Przelotnych ptaków klucz jeszcze żyje,
ale już prawie nie jest ze świata.

Nie z tego świata . . . Ba! jest z innego,
o którym nigdy nie śniły ptaki,
kiedy, swej drogi znajomej strzegąc,
rozpoznawały odwieczne znaki.
Świat nam się otwarł, wielki przestrzenią,
rozkołysany straszliwą burzą,
kędy co chwila, w każdym zalśnieniu.
nowe się szlaki przed nami dłużą.
Nie powrócimy?—Ech, powrócimy,
pozataczamy koła nad ziemią,
zanim się jeszcze, skurczone zimą,
młodziutkie pędy w kłosy zamienią.
Lecz gdy spadniemy na gniazda stare,
to przyniesiemy z dni burz i klęski
skrzydeł szumiących lotne sztandary
i pęd podniebny—górny, zwycięski.

Jeżeli który ptak nie doleci
i spadnie z góry, jak kamień w wodę,
to taki, który zginął w zamieci,
lub co bezsiłę czuł już od młodu.
Nie pora po nich zawodzić długo,
ani obarczać skrzydeł żałobą—
nam czas oddale przewiercać smugą,
nie zostawiając w tyle nikogo!
Ptaki, zwycięsko wichrami mknące,
przelotne ptaki—niepokonane,
trójkątem klucza chmury roztrącą
i nie opadną w zdradne otchłanie.
Burza za nami i chłonne piany,
jałowe swoim jękliwym sporem. . . .
My rozwiew burzy gniazdom oddamy
tryumfującym naszym klangorem.

Antoni Bogusławski

Niemiecki plan "zagospodarowania" Europy

Jak przywódcy narodowo-socjalistyczni przedstawiają sobie "nowy porządek" Europy pod względem gospodarczym? Jakie rozwijają tu plany i idee? W wielkim skrócie ten "nowy porządek" Europy, który planują a częściowo nawet już przeprowadzili, wyglądałby następująco:

Kraje kontynentu europejskiego znajdujące się poza Rosją Sowiecką i Włochami stanowią gospodarczą całość, która ma być sharmonizowana. Są to poza Niemcami protektoraty niemieckie, jak n.p. Czechy, generał-gubernatorstwa, jak Polska, królestwa okupowane, jak Dania, Norwegia, Holandia, Belgia i Rumunia, ale także i kraje formalnie niezależne, jak Francja i Węgry. Wszystkim tym krajom nie wolno prowadzić samodzielnej polityki gospodarczej. Ośrodek kierowniczy gospodarki tych krajów przenosi się do Berlina. Stamtąd dokonywane będzie centralne planowanie dla wszystkich tych krajńw. Stanowić one będą razem z Niemcami "Grossraumwirtschaft" (obszar wielkiej gospodarki) w dosłownym znaczeniu.

Jakie są założenia tego planu?

I.—Naczelnym założeniem jest, że Niemcy stanowią centrum całego wchodzącego tu w grę obszaru. Ich dobrobyt, siła i wielkość jest zasadniczym celem, któremu wszystko zostaje podporządkowane. Niemcy są celem, a wszystkie inne kraje są tylko środkami, mającymi służyć temu celowi. Inne kraje leżą w "obszarze życiowym" niemieckim—co oznacza, że prawo do rozwoju mają tylko Niemcy.

II.—Produkcja wszystkich odnośnych krajów ma być oparta na ścisłym podziale pracy. Ale podział ten nie będzie uwzględniał istniejącego stanu rzeczy. Nie wszystkie gałęzie produkcji, w szczególności nie wszystkie gałęzie w krajach "obszaru życiowego," będą utrzymane. Nastąpi "przebudowa" ustroju gospodarczego, w szczególności ustroju przemysłowego,—pod tym kątem widzenia, że wielki przemysł, przede wszystkim cały przemysł zbrojeniowy, będzie skoncentrowany na terytorium Niemiec, a inne kraje mają rozwijać głównie produkcję surowców i środków żywności. Inne kraje mają być podstawą surowcową dla przemysłu niemieckiego, a zarazem jego naturalnymi rynkami zbytu.

Plan niemiecki wychodzi z założenia, że przemysł niemiecki jest dostatecznie wielki, by móc zaspokoić zapotrzebowania artykułów przemysłowych na całym terenie niemieckiego "obszaru życiowego." Zasada "obszaru życiowego" jest przede wszystkim zasadą niemieckiego imperializmu przemysłowego. Przemysł niemiecki, nadmiernie rozbudowany, nadmiernie zmaszynizowany, nadmiernie skoncentrowany, musi mieć odpowiednie rynki zbytu i odpowiednie źródła surowców możliwie w najbliższym sąsiedztwie. Wszystkie inne przemysły na terenie "obszaru życiowego" są niepotrzebne, bo są "nieekonomiczne," skoro nie zdołają wytrzymać konkurencji z potężnym przemysłem Niemiec.

W tej części rozumowania, imperialistyczna nauka o "obszarze życiowym" w sposób cyniczny posługuje się liberalną nauką o podziale pracy. "My jesteśmy właściwymi liberałami, bo my chcemy zasadę podziału pracy na wielkim obszarze, na obszarze "wielkiej gospodarki," doprowadzić do ostatecznych granic. Niemcy będą wyrabiały artukuły przemysłowe, bo naród niemiecki się w tym wyspecjalizował i potrafi to zrobić najtaniej, gdy inne narody zajmą się czymś innym, wydobywaniem surowców, uprawą roli, ewentualnie przetwórstwem wyrobów rolnych. W ten sposób, wyzyska się wszystkie korzyści płynące z podziału pracy."

Oto tok rozumowania, które tak często dziś pojawia się na łamach prasy niemieckiej. Oczywiście nie ma potrzeby wykazywać, że ta niby to liberalna, niby "wolnościowa" nauka imperializmu przemysłowego Niemiec jest w całkowitej zgodzie z planem imperializmu politycznego. Bo urzeczywistnienie tej nauki uwieczniłoby:

a/ górowanie wojskowe Niemiec (wyłączność przemysłu wojennego na terenie Niemiec);

b/ górowanie gospodarcze Niemiec (przemysł daje bogactwo i siłę);

c/ górowanie umysłowe (przemysł stwarza warunki dla rozwoju nauk technicznych i sztuk).

Inne narody spadłyby do roli "nosiwodów i drwali."

III.—Umiejscowienie, rozłożenie produkcji całego tego "obszaru życiowego" oparłoby się na nauce sławnego ekonomisty niemieckiego z połowy XIX wieku, Jana Henryka Thuenena. Rozwijał on swój plan zakładając, że cały teren gospodarstwa jest odosobniony od reszty świata. Pośrodku tego terenu znajduje się miasto, które jest głównym spożywcą. Naokoło tego miasta tworzą się pewne strefy produkcji w zależności od kosztów transportu i wartości danego wyrobu, jego trwałości itd. Thuenen przewidywał, że ten główny ośrodek spożywczy będzie otoczony jakby szeregiem dośrodkowych kręgów według następującego porządku: najpierw gospodarstwo mleczne i ogrodnictwo, dalej gospodarstwo zbożowe, gospodarstwo leśne, pasterstwo i myślistwo itd.

Zdaje się, że ten pomysł stanowi teraz podstawę planowania gospodarczego w niemieckim "obszarze życiowym." Głównym ośrodkiem spożywczym dla całej "gospodarki wielkiego obszaru" będą Niemcy. One będą odpowiednikiem "miasta w państwie odosobnionym" Thuenena. Naokoło nich potworzą się dośrodkowe kręgi wytwórczości surowcowej, odpowiednio do naturalnych walorów danego okręgu, kosztów transportu i wartości wyrobu, jego trwałości itd. Ta gałąź produkcji, która będzie lepiej położona w stosunku do "miasta" (t.j. Niemiec), jako głównego ośrodka spożywczego, rozwinie się na danym terenie kosztem innych terenów, gorzej umiejscowionych.

IV.—Niemiecka "gospodarka wielkiego obszaru," ma być pomyślana zarówno w zakresie wytwórczości, jak i w zakresie rozdziału dóbr. To znaczy, że gospodarstwo odbywać się będzie nie na zasadzie bieżącej na rynkach, wolnej ceny, wolnej płacy, renty i procentu, ale na zasadzie przydziałów i nakazów, norm i wskaźników, kontroli i kierowania z góry.

Daje to władcom tego obszaru o wiele większe możliwości gospodarczego wyzysku podbitych narodów, niż wolna gospodarka rynkowa. Ustalanie płac i cen, procentu i renty może odbywać się w ten sposób, by dać Niemcom jak największe korzyści gospodarcze. A więc n.p. płace robotników zatrudnionych w wytwórczości surowcowej, a zarazem, ceny surowców i środków żywności mogą być ustalone na niskim poziomie, natomiast płace robotników przemysłowych na poziomie wysokim. Niemcy mogą utrzymywać szeroko rozpięte "nożyce" pomiędzy cenami przemysłowymi a cenami surowcowo-żywnościowymi. To samo może dotyczyć stosunku walut, o ile jakieś inne waluty poza marką niemiecką będą utrzymane, albo stopy procentowej od kapitałów, wypożyczanych przez Niemcy itd.

V.—Jaki będzie stosunek gospodarczy niemieckiej "gospodarki wielkiego obszaru" do innych obszarów?

W jej istocie leży pewien wyższy stopień samowystarczalności, niż obszarów mniejszych. Im większy i bardziej zaludniony obszar, tym bardziej, w zasadzie, jest samowystarczalny. Niemiecka "gospodarką" nie będzie wprawdzie samowystarczalna pod względem środków żywności, surowców włókienniczych, metali kolorowych, a zwłaszcza ropy naftowej. Jednakże po pewnej przebudowie mogłaby zbliżyć się w pewnej mierze do ideału "zamkniętego państwa."

Jeśli weźmiemy wszystkie kraje europejskie, poza Rosją Sowiecką i Włochami, to ich produkcja żywnościowa w czasach dobrych urodzajów, może mniej więcej pokrywać normalne, pokojowe zapotrzebowanie tego obszaru, planowanej przez Niemcy "wielkiej" gospodarki. Przy pewnym wysiłku obszar ten mógłby więc być samowystarczalny i pod względem żywności. Co prawda samowystarczalność w sakresie włókienniczym, a zwłaszcza w zakresie środków pędnych byłaby o wiele trudniejsza do osiągnięcia.

Nie bawiąc się w żadne proroctwa, jedno można przewidywać z dużą dozą prawdopodobieństwa: gdyby Niemcom udało się stworzyć i utrzymać ich "gospodarkę wielkiego obszaru," to handel zagraniczny takiego obszaru byłby z natury rzeczy daleko mniejszy, niż suma obrotów zagranicznych wszystkich krajów, które weszłyby w skład tego obszaru. Znaczenie handlu zagranicznego spadłoby niepomiernie, a razem z nim także znaczenie i rola złota, jako głównego instrumentu handlu zagranicznego.

VI.—Czy ta niemiecka "gospodarka" byłaby trwałą budową? Czy na jej zasadzie można by zbudować nowy pokój w Europie?

Oczywiście nie. Jeśli się raz odbiegnie od zasad wolnej gospodarki międzynarodowej, w której wszystkie kraje, wielkie i małe mogą uczestniczyć na równi, jeśli się stanie na gruncie gospodarki wielkoprzestrzennej, to korzyści takiej gospodarki rosną w miarę zwiększania się przestrzeni. Bo "gospodarka wielkiego obszaru" staje się tym bardziej samowystarczalna, im większa jest jej przestrzeń, wyzysk obcych obszarów daje tym więcej, im tych obszarów jest więcej. Jeśli istotą tej gospodarki jest wyzysk obcych obszarów, to każdy nowo zdobyty obszar jest wzbogaceniem się, jest zyskaniem na sile. Stąd dążenie do ustawicznego podboju, do stałego rozszerzania przestrzeni swej "gospodarki."

Gospodarka świata oparta na kilku takich wielkich obszarach gospodarowania, powiedzmy niemieckim, rosyjskim, brytyjskim, amerykańskim, japońskim, byłaby gospodarką ustawicznej, ciągłej wojny, wojny gospodarczej, o obszary zbytu i surowce, ale także i cichej wojny militarnej i politycznej.

* * *

Przedstawiłem tu w najogólniejszych zarysach naczelne zasady, które przyświecają niemieckiej "gospodarce wielkiego obszaru." Są to zasady gospodarki planowanej, opartej na rozkazie, sile, a raczej na przemocy. Zawierają one wszystkie elementy filozofii przemocy, której hołdują Niemcy narodowo-socjalistyczne. Ale nie można im odmówić jednego: jasności i poczucia rzeczywistości.

Gospodarka narodowo-socjalistyczna, to gospodarka, którą widzimy jasno i wyraźnie, której zarysy widzimy przed nami niemal w konkretnych kształtach. Nie jest to urojenie, bezcielesna czy bezkrwista fantazja, którą stworzyła myśl naukowca, ale obraz niemal realny, urzeczywistniany przez krew i oręż. Przynieść ma on zniszczenie wielu narodom, istotą jego jest brutalizm.

Urzeczywistnieniu tego planu przeciwstawić się można tylko orężem, orężem potężniejszym, niż oręż niemiecki, ale orężem wyposażonym również w prężniejszą, silniejszą myśl twórczą, równie rzeczywistą, w moralnie i gospodarczo wyższy obraz przyszłej Europy. To, co o tym obrazie możemy powiedzieć napewno, to, co jest zgodne z rozwojem gospodarczym naszego kontynentu: to tworzenie wielkich całości, nie rozdrabnianie, to nie obrona małych interesów, ale ich podporządkowanie wyższym racjom i wartościom.

Ferdynand Zweig

Omyłka w rachunku sowieckim

Kilka tygodni temu w Hyde Parku zdarzyło mi się wysłuchać przemówienia mówcy komunistycznego. "Widzicie, jak" Uncle Jo "był mądry—wykrzykiwał. Co się teraz dzieje? Bomby nad Londynem, bomby na Berlinem. A w Moskwie spokój. Ani jedna bomba nie spadła i nie spadnie na Moskwę."

To przemówienie w bardzo uproszczonej formie podaje rachunek, którym się Stalin—"Uncle Jo"kierował. Koszmar wojny z Niemcami, koszmar pochodu Hitlera na Wschód w porozumieniu z Zachodem albo za milczącą zgodą Zachodu był tą groźbą, którą polityka sowiecka stale starała się odwrócić. W latach 1933-1939 próbowała odwrócić za pomocą polityki zbiorowego bezpieczeństwa, któraby gwarantowała w razie napadu na Rosję konieczność dla Niemiec walki na dwóch frontach. Stąd wejście Rosji do Ligi Narodów, stąd polityka frontów ludowych, która komunistom francuskim, czy czeskim kazała występować w roli patriotów, kazała posłom komunistycznym głosować za budżetami wojskowymi. Czy już wtedy odbywały się rozmowy rosyjsko-niemieckie—niewiadomo, w każdym razie dowodu na to nie ma i Louis Fischer, naprzykład, jeden z dziennikarzy najlepiej znających stosunki sowieckie jest przekonany, że ich istotnie nie było.

Koszmar ten znikł z chwilą podpisania traktatu angielsko-polskiego. Stalin znał lepiej Anglików od Hitlera. Führer uważał, że traktat ten jest jedynie świstkiem papieru, że Anglia się nie ruszy w chwili napadu na Polskę, jak nie ruszyła się w obronie Czech. Nawet po wypowiedzeniu wojny przez Anglię Hitler jeszcze wierzył w możliwość oszczędzenia kampanii na Zachodzie i dlatego przecież całą swą armię rzucił na Polskę, dając tym Francji czas—niestety nie wyzyskany—na przygotowanie się do rozprawy.

Stalin jednak wiedział, że napad niemiecki na Polskę oznacza wojnę na Zachodzie, wojnę długotrwałą. I wydawało mu się, że ma wobec tego dwie drogi, równie bezpieczne, do wyboru. Jedną z nich było dotrzymać wierności polityce głoszonej uparcie przez lat sześć—to jest dopomóc zachodnim demokracjom w zgnieceniu faszyzmu i tym samym zabezpieczyć granice rosyjskie. Boć przecież Polska leży *między* Rosją a Niemcami i gwarancja zachodnich granic Polski gwarantowała tym samym zachodnie granice Rosji. Ta jednak droga żadnych zysków *bezpośrednich* nie dawała.

Wybrał więc Stalin drugą—połączenia się z Hitlerem. To przynosi te bezpośrednie zyski. Część Polski, państwa bałtyckie, Bessarabia i Bukowina oto zdobycze uzyskane bez ryzyka, bez potrzeby mobilizacji, prawie bez straty w ludziach i materiale wojennym. Finlandia kosztowała już dużo drożej i nie dało się całej połknąć, ale i tu ostatecznie rachunek się zgodził. "Uncle Jo" poszedł w ślady tych bohaterów, których obecnie prasa i literatura sowiecka czci bardziej, niż Karola Marksa: Iwana Kality, Piotra Wielkiego, Suworowa. Powiększył obszar "sowieckiej ojczyzny."

Oczywiście zapłacił Niemcom za te "zyski." Zapłacił pewnymi, drobnymi zresztą, dostawami wojennymi, zapłacił przede wszystkim kampanią defetystyczną komunistów francuskich (angielscy komuniści mają znikome wpływy, ich defetyzm jest więc bez znaczenia). Podstawą rachunku stalinowskiego było jednak, że Niemcy tak będą wyczerpane przez wojnę, że przestaną na długo być groźbą dla Sowietów. Kto wie, może marzyło mu się nawet, że obie strony tak będą wyczerpane, że to on Stalin będzie mógł całej Europie dyktować warunki.

Upadek Francji, wyzwalający w znaczym stopniu armię lądową niemiecką musiał być w Moskwie bardzo nieprzyjemnie odczuty. Najlepszy dowód stanowi to, że do dziś—trzy miesiące po zawieszeniu broni—żaden z ukrywających się przywódców komunistycznych nie wypłynął z powrotem na widownię. I Thorez, i Peri i Duclos nadal się ukrywają. I, co może jeszcze ciekawsze, ci z komunistów, których dawne rządy francuskie aresztowały za defetyzm, nadal siedzą w więzieniach, podczas gdy uwięzieni przyjaciele Niemiec zostali natychmiast wypuszczeni. Coś więc jest w nieporządku z przyjaźnią niemiecko-sowiecką.

Ostatnie posunięcia niemieckie wyraźnie wskazują na to, że Hitler już teraz zaczyna się przygotowywać do późniejszej rozprawy na Wschodzie. Nie mówmy już o faworyzowaniu Ukraińców w Polsce, które ma sens tylko jako przygotowywanie sprzymierzeńców wewnątrz Z.S.S.R. To jest drobiazg.

Ale pakt japoński ma ostrze przecież wyraźnie skierowane nie tylko przeciw Ameryce, ale i przeciw Rosji. Prawda, że tekst paktu wyraźnie powiada, że stosunki z Rosją pozostaną niezmienione, prawda, że minister spraw zagranicznych Japonii, p. Matsuoka, oświadcza, że dzisiaj nie można sobie pozwolić na konflikt rosyjsko-japoński i że pragnie przyjaźni z Sowietami.

Tym nie mniej jest faktem, że Rosja pomagała i pomaga Czang Kaj Szekowi, faktem jest, że interesy rosyjsko-japońskie są stuprocentowo sprzeczne. I faktem jest, że dzisiaj Japonia może zagrozić Sowietom, że dalsza pomoc Chinom oznacza nie tylko wojnę z Japonią, ale wojnę na dwa fronty.

I tą samą groźbą wojny na dwa fronty może dzisiaj wobec Sowietów operować Hitler. Wejście wojsk niemieckich do Rumunii po wielokrotnych oświadczeniach Moskwy, że jest ona zainteresowana tym, aby na Bałkanach nie zaszły istotne zmiany—stanowi dowód, że Hitler uważa, iż dzisiaj już nie potrzebuje zabiegać o łaski Stalina, a tym bardziej dawać mu napiwki.

Rachunek Stalina się nie zgodził. Ani posiadanie części Polski, ani posiadanie państw bałtyckich, Bessarabii czy portów fińskich nie gwarantuje mu bezpieczeństwa. Jest on dzisiaj w sytuacji niewątpliwie gorszej, aniżeli był przed wojną. Dotychczas władca Rosji robi dobrą minę. "Prawda" po dwudniowym milczeniu oświadczyła, że rząd rosyjski był uprzednio poinformowany o pakcie z Japonią. I nie można wykluczyć ewentualności, że teraz Stalin zwiąże się z osią jeszcze ściślej, że może nawet wzamian za jakieś napiwki porozumie się i z Japonią tak, jak się porozumiał z Hitlerem, że zdradzi Chiny, tak jak zdradził w ostatniej chwili republikańską Hiszpanię. Zapomni nawet o tym, iż pakt potrójny uznaje panowanie Niemiec i Włoch nad Europą i panowanie Japonii nad Azją, czyli że dla Sowietów wyznaczone jest miejsce wasalne.

Ale niewątpliwie dyplomacja sowiecka zaczyna szukać teraz nowej asekuracji na Zachodzie. Już zjawiają się w pismach sowieckich korespondencje z Londynu, stwierdzające, że Anglia potrafi się bronić i że *bronią jej robotnicy*. Już poseł sowiecki w Waszyngtonie szuka rozmów z Cordell Hullem, choć niedawno jeszcze prasa sowiecka szalała przeciw Stanom za nieuznanie "plebiscytów" w państwach bałtyckich.

"Uncle Jo" na gwałt musi teraz na nowo robić rachunki. Sprawdza się i na nim stare polskie przysłowie. "Kradzione nie tuczy. . . ."

Czesław Poznański

Zapomniana mapa

W roku 1938, w nr. 4831 "Polonii" z dnia 23 marca zamieściłem artykuł pt. "*Jagiellońska linia polityczna,*" w którym zwracałem uwagę na pewne geograficzne wskazania, wypływające z układu sił europejskich.

"Polska—pisałem—musi podjąć stanowcze i jak najbardziej śmiałe posunięcia, aby przeciwstawić się rosnącej z godziny na godzinę hegemonii Niemiec. Sojusz z Francją już istnieje i przymierze to trzeba starać się rozszerzyć i na Anglię. Mimo wszelkich różnic nie tyle celów, ile metod działania, siła wydarzeń będzie co raz bardziej zbliżać te mocarstwa ku sobie.

Ale oczywiście na tym tylko sojuszu poprzestać nie można. *Polska, największe po Niemczech państwo w Europie Środkowej, musi stać się ośrodkiem, grupującym obok siebie wszystkie ludy, znajdujące się w takim samym jak my, położeniu geograficznym.* Pod przewodem Rzeczypospolitej powinien powstać blok państw od Bałtyku aż po Sudety z jednej a po Morze Czarne i Adriatyckie z drugiej strony. Koalicja ta musi oprzeć się na starej, polskiej, jagiellońskiej zasadzie: wolni z wolnymi, równi z równymi. *Cementem, spajającym ten blok, musi być zasada wspólnego bezpieczeństwa, wspólnego i dobrze zrozumiałego interesu.* . . Należy wyciągnąć z niej wszystkie konsekwencje. Znaczenie takiego bloku, było by olbrzymie, nie tylko w Europie, ale w całym świecie. Z jednej strony stanowiło by przeciwwagę Niemiec. Z drugiej neutralizowało by wpływy rosyjskie. Wspólna linia działania zjednoczonych narodów, miałaby olbrzymi ciężar gatunkowy nie tylko na Wschodzie, ale i na Zachodzie. Interesy nowopowstałych po wojnie państw, ich aspiracje polityczne i gospodarcze są, w największej części podobne, zarówno w Warszawie, jak i w Bukareszcie, Pradze, państwach bałtyckich i państwach bałkańskich. *Chodzi tylko o jedno: o zrozumienie, że na podjęcie takiej, prawdziwie wielkiej polityki—jest już ostatni czas.*"

W dalszym ciągu podkreślałem, że "*albo narody środkowoeuropejskie i bałkańskie zdołają pokonać wszystkie, na prawdę drugorzędne przeszkody i stworzą wielką oraz silną koalicję—albo będą padały jeden po drugim, mimo wszystkich kunsztów i kombinacyj dyplomatycznych; by jak najdłużej utrzymać swą niepodległość.*"

Artykuł ten wywołał pewne echa w prasie jugosłowiańskiej. Oczywiście, echa ujemne. Główny organ ówczesnego ministra spraw zagranicznych, smutnej pamięci Stojadinowicza, pouczał mnie, że "w polityce zagranicznej trzeba kierować się realizmem wydarzeń, a nie fantasmagorią." Dziennik belgradzki nie widział "*ani potrzeby, ani możliwości tworzenia jakichkolwiek wielkich bloków i koalicyj między państwami, których interesy nie zazębiają się wzajemnie.*"

Czytelnicy będą łaskawi wybaczyć tę wycieczkę w zamierzchłą już dzisiaj epokę wspomnień politycznych. Ale na moim biurku leżą dzienniki i depesze amerykańskie z Białogrodu. Stwierdzają one, niemal jednozgodnie, że po rozbiorze Rumunii, którego ostatnim aktem było podporządkowanie resztek tego kraju Niemcom—*przychodzi kolej na Jugosławię.* Dyktatury, niemiecka i włoska, muszą koniecznie stosować nowy zastrzyk sukcesu, niezbędny dla trzymanych w ciągłym naprężeniu mas. Ataki powietrzne na Anglię nie dały spodziewanych wyników. Ofensywa włoska w kierunku Egiptu, idzie dziwnie powoli. Graziani nie napotyka na większe siły oporu (które zgrupowano nad Nilem)—i wszystkiego razem posunął się przez trzy tygodnie 50 km. A więc trzeba iść po linii najmniejszego oporu i uderzać w miejsca najsłabsze. Na pierwszy ogień poszła Rumunia, z której Berlin wyparł bez żadnych dłuższych ceregieli wpływy rzymskie. Teraz przychodzi kolej na Grecję i Jugosławię.

Ofensywa osi w kierunku krajów bałkańskich była zapowiadana już od dawna. Jednakowoż na drodze do definitywnego jej podjęcia stały dwie przeszkody. Pierwsza—to pewne sprzeczności między apetytami zaborców. Dotychczas zyskiwały wszystko Niemcy, a Włochy płaciły im haracz w postaci całkowitego wyrugowania wpływów rzymskich w Austrii, następnie w Rumunii i wreszcie na Węgrzech. Nie wywoływało to zbytniego entuzjazmu w społeczeństwie włoskim, a nawet w partii faszystowskiej zaczęły się pojawiać nieśmiałe zastrzeżenia, przeciwko takim pojęciom "wspólnego podziału łupów." Między innymi bardzo nieprzyjemne wrażenie wywołała w Rzymie wiadomość, że Niemcy włączają, w zakres swego "obszaru życiowego" bardzo ważny port nad Morzem Egejskim, Saloniki. Południowa Macedonia jest ciągle jeszcze uważana nad Tybrem jako "naturalne przedłużenie włoskiej Albanii."

Całkowite zrażanie sobie opinii włoskiej nie leży w interesie Niemiec, gdyż na ostateczne wyciągnięcie wszystkich konsekwencyj z sojuszu z Włochami mają w Berlinie jeszcze dużo czasu. W tej chwili trzeba starać się, by zachowywać nieco pozorów i uzgadniać z Rzymem plany bałkańskie. I te cele miała podróż ministra spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy Ribbentropa do Rzymu, tudzież ponawiane kontakty hr. Ciano z jego przyjaciółmi berlińskimi.

Prasa zarówno angielska jak i amerykańska podkreśla, że porozumienie między oboma dyktatorami zostało osiągnięte. Jak przedstawiają się jego główne zarysy?

Bardzo niewesoło dla Grecji i Jugosławii. Grecja ma oddać Włochom bazy lotnicze, zarówno na półwyspie, jak i na Krecie. W dalszym ciągu ma nastąpić "poprawka" graniczna na korzyść — "Wielkiej Albanii." Poza tym, Grecja ma odstąpić Bułgarii porty na Morzu Egejskim. Lecz ten dostęp Bułgarii do mórz południowych nie będzie miał bynajmniej charakteru wyłącznie tylko pięknego ukłonu w stronę Sofii. Wzamian za korekturę granic, Bułgaria ma zerwać z dotychczasową polityką filorosyjską i zbliżyć się do państw "osi." Rząd bułgarski ma ulec zmianie, na wzór rządu rumuńskiego, to znaczy ma się całkowicie uzależnić od Berlina. Operacja ta powinna zostać przeprowadzona o ile możności dyskretnie, aby nie wywoływać jeszcze większego niepokoju w Moskwie.

Jugosławia ma podzielić los Czechosłowacji, to znaczy rozbiór tego państwa ma się dokonać stopniowo, z zachowaniem przyjętej przez Niemców zasady dzielenia i rozbijania narodów słowiańskich.

Plan podziału Jugosławii, jaki Ribbentrop przedstawił ministrowi hr. Ciano, wygląda, według informacyj prasy angielskiej i amerykańskiej, następująco:

1. Zostanie, utworzona "autonomiczna" Słowenia pod protektoratem Niemiec. W skład tego nowotworu wejdzie Kraina i część Chorwacji. Ustrój tej Słowenii będzie wzorowany na ustroju Słowaczyzny.

2. Chorwacja ma otrzymać "autonomię," również pod kontrolą Berlina.

3. Tworzy się nie tylko "autonomiczne," ale nawet "niepodległe" państwo Banatu. Jak wiadomo, kraj ten był kością niezgody między Jugosławią i Węgrami. Nie wciela się go do Węgier, gdyż Trzeciej Rzeszy zależy na dokładnym otoczeniu najwierniejszych węgierskich sprzymierzeńców. Osiągnie się to przez "autonomiczną" Słowaczyznę na północy, "autonomiczne" ugrupowania niemieckich Szeklerów w Siedmiogrodzie, i wreszcie "niepodległy" Banat na południu.

4. Macedonia będzie państwem albo "autonomicznym," albo wręcz "niepodległym." Wszystko to zależy od definitywnego projektu kontroli "osi," jaki zostanie ustalony.

5. Całe wybrzeże dalmatyńskie przypada Włochom.

Ale nie za darmo. Korespondenci belgradzcy dzienników londyńskich przynoszą ciekawe szczegóły, dotyczące pewnych rozmów, jakie na ten temat prowadzi się między Berlinem a Rzymem. *Otóż wzamian za zgodę na przyłączenie na wskroś słowiańskiej Dalmacji do Włoch, Niemcy domagają się włączenia do "życiowego obszaru" Trzeciej Rzeszy—włoskiego Triestu.* Ponieważ wysunięcie tego żądania w formie bezwzględnej byłoby jeszcze dzisiaj niewłaściwe — Włochy trzeba łudzić do ostatka —więc wysuwa się motyw, że Triest stanowi naturalne zaplecze "autonomicznych" krajów: Krainy i Chorwacji. Dzisiejsza bowiem Jugosławia zostanie zredukowana do granic Serbii z przed roku 1912, to jest z okresu przed pierwszą wojną bałkańską.

Ten plan jest niesłychanie charakterystyczny. Jest on bowiem wcale niedwuznaczną zapowiedzią tych, na prawdę końcowych zamiarów Niemiec w stosunku do "świetnego pomocnika," jakim dzisiaj jest dla Hitlera Mussolini z całym swoim faszyzmem. Tak, jak Niemcy, po zwycięstwie na Zachodzie, nie pogodziliby się nigdy z faktem, że Pomorze, Poznańskie i Śląsk pozostałby w granicach Polski—*tak samo nie pogodzą się z myślą o rezygnacji z wybicia sobie okna na Morze Śródziemne.* Triest uważany był zarówno w czasie wojny światowej 1914-1918 i uważany jest dotychczas za naturalny port Wielkich Niemiec, którego zaplecze obejmuje ogromne obszary południowej Rzeszy, Austrii, włączonych do Niemiec Czech i Słowaczyzny.

Ta koncepcja niemiecka jest powszechnie znana i wystarczy rzucić okiem na mapę Europy, aby dojść do przekonania, że zwycięskie Niemcy wysunęłyby ją natychmiast po swoim "pokoju." Wiedzą o tym nawet faszyści włoscy—i dlatego nieśmiało przeciwstawiają projektowi Hitlera jakiś planik "federacji jugosłowiańskiej," sądząc, że w ten sposób przynajmniej częściowo zabezpieczą się przed swym, jakżeż strasznie niebezpiecznym, sojusznikiem.

Oczywiście są to tylko złudzenia. *Przyszłość i historia narodów Europy wypisana jest na mapie.* Nie miał jej przed oczyma nasz nieszczęsny Beck, nie miał jugosłowiański Stojadinowicz, nie potrafił ocenić wymowy geografii politycznej Mussolini. Dla wszystkich narodów środkowo—i południowo—europejskich hegemonia Wielkich Niemiec stanowi niebezpieczeństwo nr. 1. Wie o tym już Polska i rozpaczliwy realizm tej prawdy poznaje dzisiaj zarówno Jugosławia, jak i Rumunia. Prędzej czy później ze swych ogromnych błędów politycznych zdadzą sobie sprawę i Włochy. Tymczasem jednak zdanie, że "sukcesy Hitlera należy mierzyć nie tyle jego geniuszem, ile bezgraniczną głupotą europejskich mężów stanu"—nabiera co raz to większej aktualności.

Tadeusz Kiełpiński

Wizytacja Marynarki Wojennej





W dorobku polskiego odporu zbrojnego przeciw barbarzyńskiemu najazdowi teutońskich hord na ziemie Rzeczypospolitej, zapoczątkowanemu przez masowy mord z powietrza bezbronnej ludności cywilnej o świcie pamiętnego dnia 1 września 1939 r., specjalną kartę po wsze czasy będzie miała Polska Marynarka Wojenna. Jej dzieje, opromienione chwałą czynów i aureolą żołnierskiej śmierci załóg "Orła" i "Gromu," przejdą do historii nie tylko owiane czarem legendy, ale poparte świadectwem rzeczywistego bohaterstwa.

Jej to tylko jedynej—Polskiej Marynarce Wojennej przypadło w zaszczytnym udziale zaprezentować na obczyźnie całokształt własnego naszego skromnego, ale dojrzałego dorobku w tej dziedzinie ku chwale polskiego imienia i uznaniu najpotężniejszego na świecie mocarstwa morskiego.

I że dziś na gościnnej ziemi angielskiej możemy z dumą i wzruszeniem wstępować na pokład p o l s k i c h statków, których burty tylekroć z umiłowaniem obmywały stalowe fale p o l s k i e g o Bałtyku w źrenicy naszego oka na świat, największego na północnym wschodzie Europy portu, dumy polskiego marynarza: Gdyni—Tobie mamy to do zawdzięczenia, Polska Marynarko!

Poprzez burze mórz i oceanów, poprzez kordony wrogiego ognia i zdradzieckie zasadzki min, łodzi podwodnych i rozszalałego w naszej dobie żywiołu powietrznych "mordritterów" uniosłaś niezatarte ślady polskiego morza na dalsze dni krwi i chwały ku pokrzepieniu naszych serc.

W dniach 23 i 24 września 1940 r. "somewhere in England" po raz pierwszy od wybuchu wojny cała polska nawodna Marynarka Wojenna spłynęła do portów dla zaprezentowania się przedstawicielowi Majestatu Ojczyzny: Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

W otoczeniu przedstawicieli Armii lądowej i Marynarki, w blaskach niezwykłych o tej porze w Anglii rozsłonecznionych dni, przekazywał Dostojny Gość kolejno wszystkim odwiedzanym jednostkom serdeczny uśmiech braterstwa i gorące słowa uznania i wiary w bezwzględną skuteczność czystego, codziennego żołnierskiego wysiłku i obywatelskiego poświęcenia, które muszą doprowadzić do wyśnionego celu—odbudowy Wielkiej Rzeczypospolitej.

Śmiały się marynarskie swawolne, ale wierne oczy, łamały się słoneczne promienie na wyczyszczonym jak lustro sprzęcie, a spojrzenia marynarzy przenosiły się z radością i dumą z szlachetnej sylwetki przyprószonego siwizną w pracy dla Ojczyzny Męża na wsławione już w wielu bojach okrętowe działa—przedmiot ich dumy, łącząc w sercach wilków i wilczków morskich w jedno: cześć dla Majestatu Rzeczypospolitej z ukochaniem żołnierskiego rzemiosła.

Tego dnia na pokładach polskich okrętów wojennych zespoliło się serce Żołnierza z dumą Obywatela.

Wacław Drzewiecki

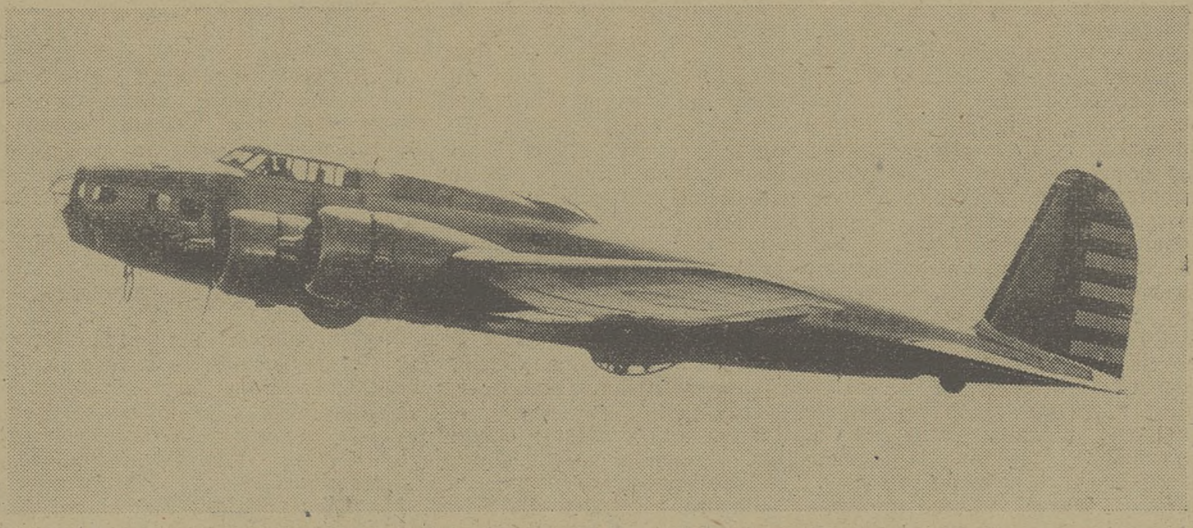
Wojna powietrzna

Pomoc Ameryki *

Jak wiadomo, sprawa współpracy Ameryki w prowadzeniu wojny jest dzisiaj zagadnieniem kluczowym, około którego obracają się losy walki. Oczywiście nie chodzi tu o pomoc morską, bowiem flota brytyjska jest i tak dosyć potężna, ani też na razie o pomoc na lądzie. Zagadnienie pomocy amerykańskiej dotyczy przede wszystkim lotnictwa i warto jest dobrze zdać sobie z tego faktu sprawę.

Jednym z następstw, wypływających z całkowicie niemal lotniczego charakteru ewentualnej pomocy amerykańskiej jest zepchnięcie nieco na drugi plan sprawy wypowiedzenia wojny przez Stany Zjednoczone. Podstawowym zagadnieniem jest siła lotnicza Ameryki, a więc przede wszystkim jej zdolność wytwórcza. Jeśli jest ona wielka, to pomoc dla W. Brytanii będzie wydatna, nawet bez wypowiedzenia wojny. Gdyby była ona nieznaczna, to wypowiedzenie wojny stało by się aktem czysto symbolicznym.

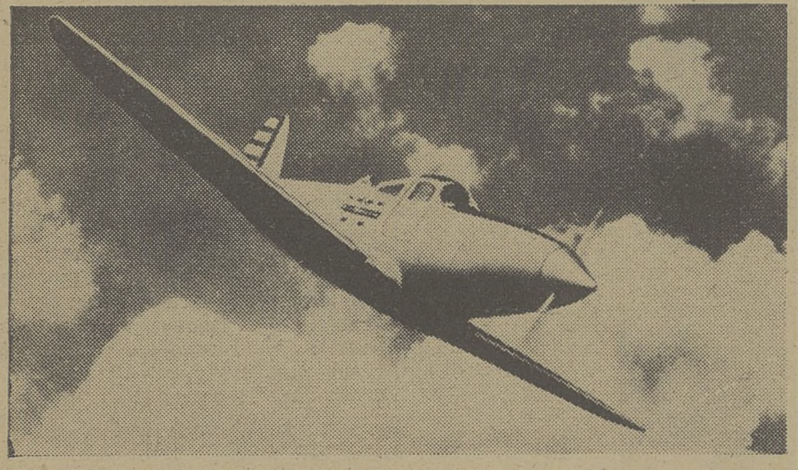
Często operuje się astronomicznymi cyframi samolotów i silników, jakie dostarczyć ma Ameryka. Oceny są tutaj bardzo rozbieżne, choć ostatnio wymienia się przeważnie liczbę 500 maszyn dostarczanych miesięcznie. W ocenach tych pomija się—zwłaszcza jeśli chodzi o prasę codzienną—moment bodaj najważniejszy, a mianowicie: jakie samoloty przyszle Ameryka? Jasne jest, iż w lotnictwie jakość odgrywa większą rolę od ilości—w każdym zaś razie na tym założeniu oparta jest cała działalność lotnictwa brytyjskiego. Powiedzieć więc, iż otrzymamy tyle a tyle tysięcy samolotów, nie określając dokładnie ich rodzaju i jakości, nie znaczy w ogóle nic.



Boeing B-17 zwany "Latającą Fortecą"



Myśliwiec Lockheed P.38 przed startem



Myśliwiec Bell P.39, zwany "Airacobra"

Rozróżnienie typów potrzebne jest zwłaszcza, gdy chodzi o dostawę samolotów już gotowych, nie wykonanych na specjalne zamówienie. Mówiło się na przykład bardzo wiele o dostarczeniu dla Anglii pewnej ilości tzw. "Latających Fortec," łącząc z tym faktem dość daleko sięgające nadzieje. Otóż prasa amerykańska celuje w reklamie i przesadzie. Przedstawiają się one znacznie groźniej na odległość, niż z bliska.

"Latająca Forteca" jest popularną nazwą Boeinga B-17, którego pierwowzór latał już w roku 1935. Jest to maszyna czterosilnikowa (Wright Cyclone, moc 1200 koni każdy) o wadze 20 ton i rozpiętości 103 stóp. Jest to więc jeden z największych samolotów wojskowych na świecie, o szybkości maksymalnej 268 mil na godzinę. Największą jego zaletą jest duży zasięg,—a mianowicie 2.100 mil z ładunkiem 3.800 funtów bomb.

Jak widzimy, "Latające Fortece" mogą sięgnąć do najdalszych zakątków Niemiec, operując na zasadzie zapasu paliwa obliczonego na drogę trzy razy dalszą, niż odległość od bazy do celu—czyli tam, z powrotem i jeszcze raz. Jednak ładunek bomb uniesiony na tę odległość nie jest specjalnie wielki w stosunku do rozmiarów maszyny, ani też w porównaniu z nośnością innych ciężkich bombowców. Rzecz prosta wszelka akcja dzienna byłaby wykluczona, bowiem "Latająca Forteca" ma dość słabe uzbrojenie—5 karabinów maszynowych, kryjących wszystkie strony. Olbrzymie rozmiary tej maszyny w połączeniu z faktem, iż rozporządza ona tylko jednym karabinem maszynowym z każdej strony uczyniłyby z niej łatwą ofiarę dla myśliwców—zwłaszcza rozporządzających działkami o zasięgu większym od jej k.m.

Nie należy mieszać "*Flying Fortress*" z innym wielkim Boeingiem—typem B-15, o rozpiętości 150 stóp, a więc 50 metrów i czterech silnikach *Pratt and Whitney Twin Wasp*. Jak wskazuje stosunek rozpiętości i mocy, aparat ten jest zapewne znacznie powolniejszy od B-17 i jeszcze łatwiejszy do trafienia, tak iż zaimponować mógłby chyba tylko zbieraczowi olbrzymów. Zresztą wykonano dotychczas tylko dwa egzemplarze tego typu, który jednak zdołał narobić wiele hałasu w prasie.

Ciekawszym modelem jest B-17-B, stanowiący dalszy etap wielkiego Boeinga. Jest to odpowiednik pasażerskiego "*Stratoliner*," posiadający hermetycznie zamkniętą kabinę, w której utrzymywane jest ciśnienie potrzebne dla oddychania, podczas gdy normalną wysokością lotu jest 20.000 stóp. Kompresory, typu napędzanego gazami wydmuchowymi, obliczone są na pełną moc na tej właśnie wysokości—co nie przeszkadza oczywiście w osiągnięciu jeszcze znacznie wyższego pułapu.

Bombowiec sub-stratosferyczny jest niewątpliwie maszyną przyszłości, to też Boeing B-17-B zasługuje na bardzo pilną uwagę, lecz na razie nie ma mowy o dostarczaniu go krajom obcym. Jest to właśnie model, jakiego Ameryka sama najwięcej potrzebuje ze względu na olbrzymie odległości kontynentu amerykańskiego.

Zresztą niewątpliwie konstruktorzy europejscy—i to po obu stronach powietrznego frontu—nie zaniedbali kierunku, jaki reprezentuje Boeing. Nie było by przytem wcale dziwne, gdyby zaprawieni w bojach Europejczycy przewyższyli konstrukcję ciężkiego bombowca amerykańskiego, który cierpi nieco na zbyt bliskie pokrewieństwo z samolotem transportowym, będącym specjalnością Stanów Zjednoczonych. Zarówno Anglicy, jak Niemcy posiadają w przygotowaniu typy bombowców czterosilnikowych prawdopodobnie lepszych od "Latających Fortec." Między innymi, pewną wadą Boeinga jest jego tradycyjny pojedyńczy ster kierunkowy, który uniemożliwia wbudowanie wieżyczki strzelca w ogonie.

Natomiast bardzo ciekawych rezultatów należy oczekiwać po nowym amerykańskim silniku rzędowym *Lycoming*. Jest to pierwszy bodaj płaski silnik o wielkiej mocy (1200 koni), w którym bloki cylindrów przesunięte są względem siebie o 120 stopni. Oczywiście silnik ten przeznaczony jest przede wszystkim dla ciężkich maszyn wielosilnikowych, w których skrzydle mógłby on się cały schować, bez gondoli. Na razie słychać o zastosowaniu go w niektórych amerykańskich aparatach myśliwskich, lecz właściwym jego przeznaczeniem, które wynika z całej konstrukcji, nie jest maszyna jednosilnikowa.

Można oczekiwać, iż aparat w rodzaju Boeinga wyposażony w płaskie Lycomingi zamiast gwiaździstych Cyclone'ów albo Wasp'ów mógłby dać na prawdę ciekawe rezultaty.

Z innych bombowców zamówionych w Ameryce warto wymienić *Northrop A*-17, maszynę nieco przestarzałą, nadającą się głównie dla współpracy z armią. Posiada ona szybkość zaledwie 210 mil na godzinę, lecz nowszy typ, *Northrop A-17-A*, z chowanym podwoziem, rozwija 225 mil na godzinę. Jest także *Martin* 167, znanej firmy Glenn Martin. Jest to bombowiec klasycznej konstrukcji amerykańskiej, podobny do niektórych Douglasów. Zaopatrzony jest w silniki *Twin Wasp*. Osiąga on szybkość 316 mil na godzinę.

Najciekawszym jednak z nowych bombowców amerykańskich jest niewątpliwie *Douglas DB*7, który w RAF otrzywał oficjalną nazwę Boston. Charakterystyczną jego cechą jest podwozie typu trójkołowego—to jest bez kółka ogonowego, które zastąpione jest trzecim kołem w nosie samolotu. Maszyna tego typu startuje szybciej, niż taki sam aparat o normalnym podwoziu starego rodzaju, bowiem nie potrzebuje podnosić najpierw ogona, lecz odrywa się od ziemi od razu trzema kołami. Większa zwrotność na ziemi jest również zaletą podwozia trójkołowego, które utrudnia kapotowanie przy lądowaniu.

Jak wszystkie dobre maszyny, Boston nie jest bynajmniej świeżą nowością. Prace nad jego budową rozpoczęła firma Northrop już w roku 1936, potem zaś przejęła je firma Douglas. Obie te fabryki należą do jednego koncernu przemysłu lotniczego. Szybkość Douglas'a DB7 jest bardzo dobra, bowiem wynosi 320 mil na godzinę.

Jeżeli chodzi o maszyny bojowe i myśliwskie, to Ameryka ofiarowuje ich cały szereg. Jest więc krępy i przysadzisty *Brewster*, zwany w Anglii *Buffalo*. Silnik Wright Cyclone G 200 daje Buffalo szybkość około 330 mil na godzinę. Należy jednak sądzić, iż jego wyjątkowo masywna budowa daje mu znaczne zalety akrobatyczne.

Dość podobny do *Buffalo* jest *Curtiss Hawk*, którym posługiwało się lotnictwo francuskie. Szybkość jego jest zresztą mniejsza, dochodzi bowiem tylko do 310 mil na godzinę. Jasne jest, iż maszyna tego rodzaju, która nie mogłaby doścignąć wielu niemieckich ciężkich bombowców, może nadawać się chyba tylko do użycia przeciwko Włochom, albo może do służby na pokładach lotniskowców, gdzie stawiane są wymagania nieco odmienne od lądowych.

Do tej samej kategorii należy *Curtiss Helldiver*—jak jego nazwa wskazuje, bombowiec do lotu nurkowego. Jest to jeden z bardzo nielicznych obecnie dwupłatowców wojskowych. Unikatem niemal jest jego chowane podwozie—rzecz niespotykana w dwupłatowcach, z powodu ich cienkich skrzydeł. Szybkość Helldiver'a jest niewielka—235 mil na godzinę, tak iż pozostaje on w tej samej klasie, co Junkers 87, wycofany ostatnio z głównego teatru wojny i skierowany na fronty, gdzie obrona lotnicza jest mniej groźna.

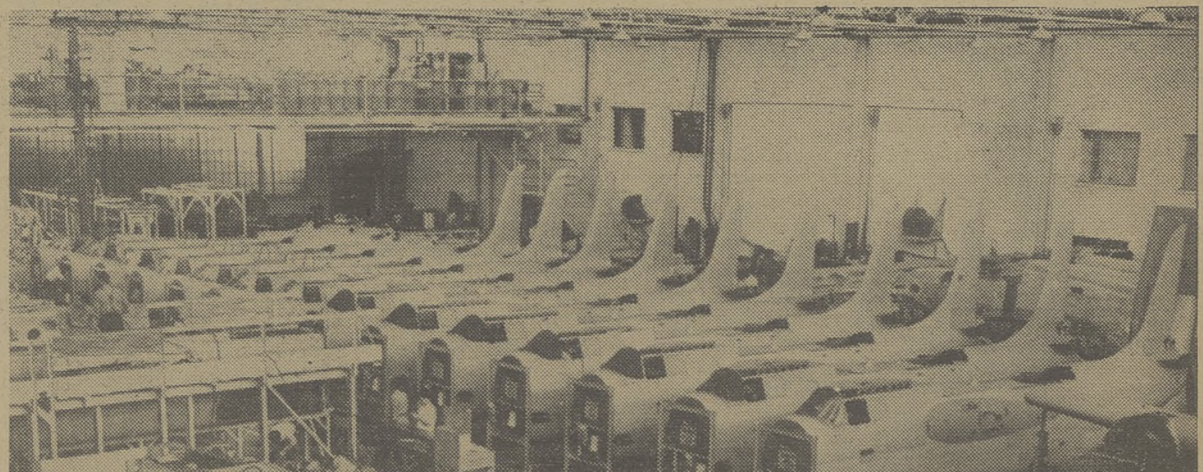
Na sam koniec zarezerwowałem sobie dwa najpiękniejsze z aparatów amerykańskich, stanowiące na prawdę znaczny postęp techniczny. Są to maszyny dość nowe, lecz już wstępne ich wyniki pozwalają oczekiwać wiele. Jest więc przede wszystkim *Bell P*.39, zwany *Airacobra*—myśliwiec zupełnie nowego typu. Odznacza się on umieszczeniem silnika—Allison o mocy 1.150 koni—mniej więcej w środku kadłuba, a zarazem w środku ciężkości maszyny. Śmigło napędzane jest wałem, zaś pilot siedzi przed silnikiem, mając dzięki temu lepsze pole widzenia. Konstrukcja ta pozwala na bardziej wysmukłą linię dzioba i co za tym idzie lepsze oprofilowanie. Podwozie jest omawianego już typu trójkołowego. Szybkość Airacobry ma wynosić podobno 400 mil na godzinę, przy czym uzbrojona jest ona w działko strzelające przez piastę śmigła—tak jak niektóre Messerschmitty. Poza tym otrzyma on zapewne silne uzbrojenie z sześciu lub ośmiu karabinów maszynowych w skrzydle. W lotnictwie angielskim przyjęło się uzbrojenie z ośmiu k.m.—tak jak w *Spitfire*'ach i *Hurricane*'ach, lecz niewiadomo czy ciężar działka plus 8 k.m. nie byłby za wielki.

Airacobra na papierze przewyższa *Spitfire*, lecz dopiero praktyka pokaże, która maszyna jest lepsza. Cyfry bywają omylne—wszak na papierze i *Heinkel* 113 lepszy jest od *Spitfire*, zaś w walce powietrznej okazuje się zwykle zupełnie inaczej.

Drugą bardzo ciekawą maszyną bojową amerykańską jest *Lockheed P* 38. Posiada on szybkość maksymalną 404 mil na godzinę, co stawia go w rzędzie najszybszych maszyn bojowych na świecie, przewyższając szybkość wszystkich prawie samolotów używanych obecnie przez Niemców.

Tak więc, jak widzimy, wkład amerykański jest niezmiernie cenny, choć nierówny—sięgając od maszyn przestarzałych aż do aparatów stojących w awangardzie postępu technicznego. W każdym razie amerykański przemysł lotniczy—trzeci na świecie po brytyjskim i niemieckim, jeśli chodzi o maszyny wojskowe, powołany jest do odegrania w toczącej się obecnie wojnie roli prawdziwego arbitra, którego głos—potężny ryk Cyclone'ów Wrighta, Wasp'ów Pratt and Whitney, Allison'ów i Merlin'ów wyrobu Packarda—przeważyć może szalę zwycięstwa.

Tadeusz Lutosławski



Amerykańska fabrykacja masowa bombowców Douglas DB.7

* Por. "Wojna powietrzna—Siły przeciwników" w nr. 29 "Polski Walczącej."

SZKOCJA I SZKOCI

III*

Obozy polskie nie są położone w najbardziej romantycznej, lub charakterystycznej części Szkocji, ale raczej w stronach mniej ciekawych. Natomiast w niecałą godzinę można zajechać autobusem lub koleją do okolicy bardzo ciekawej, o bogatej historii, do t. zw. "kresów," czyli "*Border Country*." Jest to kraina zamków, wypraw wojennych, duchów, legend i ballad, ojczyzna słynnego pisarza Sir Walter Scott'a.

"*Border Country*," albo krócej "*Borders*" ciągną się od Edynburga aż po granicę angielską i obejmują Berwick, Galashiels, Selkirk, Hawick, Melrose, Dryburgh, Jedburgh i wiele mniejszych miasteczek. Jest to kraj górzysty, ale góry są niewysokie, o szczytach zaokrąglonych. Są one pokryte głównie trawą, wrzosem albo niskimi krzewami, tylko w dolinach rosną drzewa, wśród których—przeważnie nad rzekami lub strumieniami—ukryte są domy z szarego kamienia.

Jest to krajobraz właściwie smutny, ale pełen tajemniczego uroku. Pól uprawnych prawie nie ma. Na przestrzennych łąkach, poprzedzielanych kamiennymi murami pasą się owce, z których wełny produkuje się owe słynne samodziały i sukna zwane "*Tweeds*," od głównej rzeki tej dzielnicy, Tweed.

Miasta Hawick i Galashiels—to główne ośrodki szkockiego przemysłu włókienniczego, ojczyzna słynnych na całym świecie swetrów, szalików, skarpetek i ubrań z wełny szkockiej. Ale przemysł tutejszy, skupiony w paru nielicznych zresztą punktach, w niczym nie zatruwa tradycyjnego romantyzmu "*Borders*'ów."

By przejąć się tutejszym nastrojem wystarczy stanąć o zachodzie słońca na szczycie pierwszej lepszej góry (a właściwie na grzbiecie, bo szczytów te góry przeważnie nie mają) i spojrzeć na krajobraz. Roztoczą się wówczas przed wzrokiem nagie, pokryte zaledwie krótką trawą stoki górskie, wrzosowiska i [illegible]y zarys jakiejś większej góry, na której grzbiecie widnieje wyraźnie mur stanowiący granicę pomiędzy dwiema posiadłościami; w dole szumi rzeka, a wiatr, wiejący tu z niezwykłą siłą, zgina wpół nieliczne drzewa; w oddali zarysowuje się czarna sylwetka zamku, a u podnóża góry w małym kamiennym domku pali się światło. W widoku tym jest coś tajemniczego, niekreślonego, niesamowitego.

Toteż istnieje ogromna ilość legend o duchach, upiorach, rycerzach. Piosenki tutejsze są smutne i dosyć krwiożercze, a wywodzą się one po większej części ze starych ballad średniowiecznych i późniejszych, opiewających czyny rycerzy szkockich, zbójników i opisujących wyprawy wojenne przeciwko Anglii. Ale nie brak również i opowiadań i legend o wróżkach.

Oto charakterystyczna legenda tego rodzaju: niedaleko Melrose pokazują strumień, nad którym jasnowidz szkocki z XIII-go wieku Thomas Learmont obdarzony został zdolnościami proroczymi. Thomas drzemał sobie któregoś wieczoru nad brzegiem wody, kiedy obudziła go piękna pani na białym koniu. Thomas pomyślał najpierw, że to Matka Boska, ale piękna pani oznajmiła mu, że jest królową wróżek i zapytała go, czy nie zechciałby jej pocałować. Zanim dokończyła zdania, Thomas przycisnął swe usta do jej koralowych warg. Potem kazała mu wskoczyć na konia i zawiozła go w nieznane strony—do kraju wróżek, skąd powrócił dopiero po siedmiu latach. Ale zanim wyruszył w podróż powrotną do Szkocji królowa wróżek wręczyła mu jabłko, zaznaczając że po spożyciu go będzie mógł mówić tylko prawdę. Thomas nie chciał najpierw jabłka zjeść, gdyż uważał, że czasami praktycznie jest kłamać, ale uległ w końcu namowom wróżki, zjadł owoc, powrócił do ojczyzny, gdzie wygłaszał najrozmaitsze przepowiednie. Ale nie bardzo był szczęśliwy, tęsknił bowiem za swoją ukochaną, do której mógł powrócić jedynie gdyby go wezwała. Pewnego wieczoru, kiedy podejmował gości na swoim zamku sutą wieczerzą, wpadł do sali jadalnej gajowy, donosząc mu, iż dwie sarny wypadły z lasu i przechadzają się najspokojniej po wsi. Na tę wiadomość Thomas zerwał się z krzesła, wybiegł z domu, zostawiając gości samym sobie i uciekł razem z sarenkami do lasu. "Już go nikt nigdy potem nie spotkał."

Jest to typowa bajka "*Borders*"'ów, z rodzaju bajek z wróżkami. Jak wszystkie bajki szkockie ma ona podłoże historyczne, bowiem Thomas Learmont żył rzeczywiście w trzynastym wieku, a przepowiednie jego—z których niektóre już się sprawdziły—znane są do dziś dnia.

Legendy te i ballady zebrane zostały przez Sir Walter Scott'a, który mieszkał w tych stronach, bo w Abbotsford. Scott jest najsłynniejszym synem tej ziemi, boć to on przecież był pierwszym w ścisłym słowa tego znaczeniu powieściopisarzem i on po raz pierwszy wprowadził historię do literatury pięknej. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że ten genialny i natchniony pisarz stworzył większość swych dzieł w celu spłacenia zaległych długów. Firma, której był wspólnikiem zbankrutowała, a ponieważ w owych czasach ograniczonej odpowiedzialności nie znano—Scott'owi przypadło w udziale spłacenie sumy przekraczającej Ł 100.000. Był on już wówczas w podeszłym wieku, a tak usilnie pracował, że po sześciu latach umarł. Ale zdołał w tym czasie spłacić Ł 80.000 długu z pieniędzy zarobionych na pisaniu. Była to suma jak na owe czasy niesłychanie wysoka. Ale pomimo tak prozaicznych pobudek, dzieła Scott'a są wcieleniem wszystkich tradycji i nastrojów Szkocji, a zwłaszcza "*Borders*."

W tej krainie, suto zroszonej krwią długoletnich wojen, w tym kraju bajek i wróżek—istnieje bardzo głęboko zakorzeniona tradycja chrześcijańska. Chrystianizm zawędrował w te strony bardzo wcześnie, a broniły pierwszych przedstawicieli kościoła warowne opactwa, które w czasach reformacji stały się ostoją katolicyzmu. Najsłynniejsze opactwa, a raczej ich ruiny, zwiedzać można w Kelso, Dryburgh, Jedburgh i Melrose. Opactw takich było przeszło tysiąc, ale te były największe i najwspanialsze. Są to wielkie, imponujące gmachy, składające się z kościoła i zazwyczaj domu mieszkalnego i takich czy innych fortyfikacji. Przyczem, ponieważ są to budynki nadzwyczaj stare, różne ich części z różnych pochodzą epok, gdyż aż do XVI-go wieku ciągle je przebudowywano lub powiększano. To też dla archeologów i historyków stanowią one istną kopalnię dokumentów, pomników, napisów wyjaśniających różne tajemnice dziejowe.

Opactwa te, t. zw. "*Border Abbeys*," zostały spalone, zniszczone i zrujnowane w epoce zażartych wojen angielsko-szkockich, wojen właściwie o rękę królowej Szkocji—Marii Stuart. Henryk VIII, słynny mąż siedmiu żon, chciał ożenić syna swego Edwarda z Marią Stuart, księżniczką szkocką, która zresztą była wówczas dzieckiem, i przez to zjednoczyć oba królestwa. Szkoci się najpierw zgodzili, ale potem doszli do przekonania, że bardziej opłaciło by się przymierze z Francją i podarli traktat z Anglią. Wówczas Anglicy, pod dowództwem Earl of Hertford'a wylądowali w roku 1544 pod Edynburgiem, w zatoce Firth of Forth, i ogniem i mieczem jęli niszczyć i palić południową Szkocję, znęcając się szczególnie nad katolikami, był to bowiem okres kiedy Anglia wystąpiła z kościoła katolickiego. Oczywiście więc rzucili się z zajadłością na opactwa, które spalili, a Szkoci, którzy niebawem przeszli na kalwinizm, już ich nie odbudowali. Ale te symbole miłości bliźnich, acz zniszczone, przetrwały zawieruchę nienawiści, i są przedmiotem podziwu i uwielbienia obu ongiś powaśnionych narodów, dzisiaj połączonych trwałymi węzłami przyjaźni.

Leszek Meyer

*Por. nr. 27 i 28 "Polski Walczącej."



Defilada w takt szkockiej kobzy

Rysował Feliks Topolski

KOBZIARZ

Piosenka żołnierska

1.

Hej, kobziarzu z łąki szkockiej,
Zagrajże mi na rozgrzewkę
W zimne nocki.
Wyczaruj mi swoją fają
Taką nutę—jak górale
W Tatrach grają.

2.

Obdaruj mnie swą spódnicą,
A ja zato dam ci portki
Z parzenicą.
Jak ci się ten strój spodoba,
To będziemy w jedną kobzę
Dmuchać obaj.

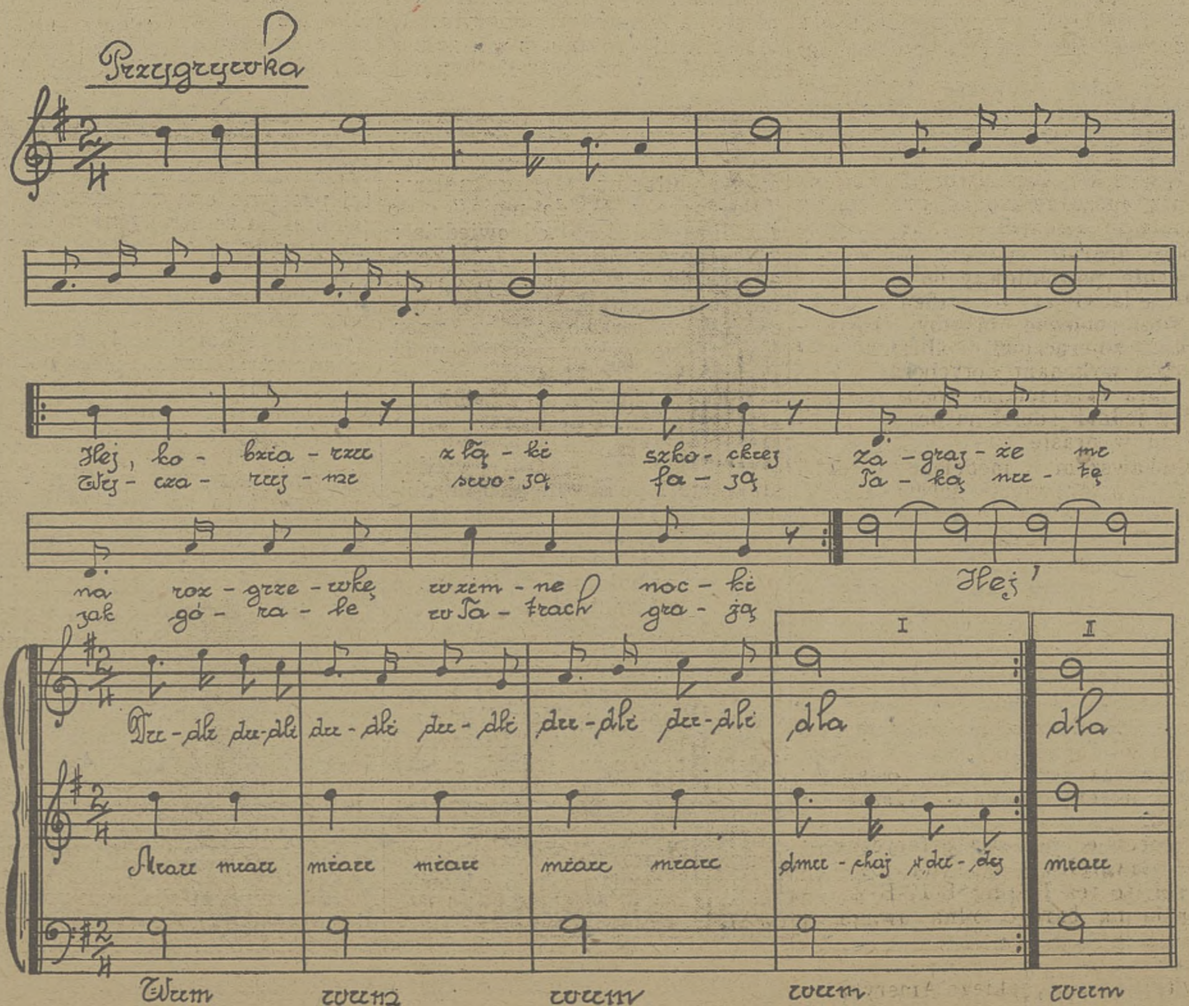
3.

Dmuchaj bracie, tchu nie żałuj!
Gdy zobaczysz ładną pannę,—
To pocałuj!
Mogę ci w tym pomóc dobrze,
Znam się na tym, choć nie umiem
Grać na kobzie.

4.

Gdy po wojnie Bóg da zdrowie,
Spotkamy się pod bacówką
W Chochołowie.
Wychylimy kielich gładki
Jeden w paski, drugi w kwiatki,
Trzeci w kratki.

Muzyka i słowa Adama Kowalskiego



Z KAMPANII FRANCUSKIEJ

Brygada pod Montbard

(Z dziennika bojowego dowódcy szwadronu)

Zaczynamy drukować wspomnienia żołnierzy z francuskiego epizodu Armii, do której należymy. Są to jedne z pierwszych, jeśli nie pierwsze w polskiej prasie emigracyjnej, świadectwa tych niedawnych a tak mało jeszcze znanych walk, które zadokumentowały przed światem nasz nieprzerwany wysiłek zbrojny.

W najbliższych numerach pomieścimy dalszy ciąg tych wyjątków z dziennika bojowego, wspomnienia członka czołówki radiowej ze służby wśród polskich formacyj na froncie francuskim oraz trzy inne bądź fragmentaryczne, bądź obejmujące pewne całości.

Pragnęlibyśmy, aby ta inicjatywa "Polski Walczącej" pobudziła przebywających wśród nas uczestników kampanii francuskiej do spisania, bądź do opowiedzenia swoich przeżyć komuś, kto, doceniając wagę wszelkiej dokumentacji historycznej, spisałby je i przesłał do druku.

Redakcja

Ułanom 10-ej Brygady Kawalerii Pancernej, poległym w boju nocnym o Montbard.

W czasie odprawy u Dowódcy Brygady dowiedzieliśmy się, że Brygada otrzymała rozkaz maszerowania w kierunku na Montbard, jako straż przednia 42 Dywizji Piechoty francuskiej i że tam mamy otworzyć przejścia dla Dywizji na drugą stronę kanału Burgundskiego.

Dowódca Brygady stanął przed trudnym wyborem. Istniały teoretyczne możliwości, że jeszcze z tej sytuacji można próbować wyjścia w kierunku wschodnim; gdyby to się udało, gdybyśmy zdążyli wyjść przed czoło oskrzydlających nas pancernych oddziałów niemieckich, można by było uratować z tego chaosu całą Brygadę. Sytuacja była tym cięższa, że dowódca 42 D.P. francuskiej powoływał się na braterstwo broni Polaków i Francuzów, na polską waleczność i bohaterstwo, wyrażał przekonanie, że mu tym razem Brygada dopomoże. Byliśmy tu bowiem jedynym oddziałem zwartym, silnym moralnie, który w najmniejszym stopniu nie uległ panice ogólnej i w każdej chwili byliśmy zdolni do walki.

Decyzja Generała była krótka: —"Jesteśmy Polakami, albo Brygada wykona zadanie, albo przestanie istnieć—bijemy się do końca."

Brak nam było benzyny. Chcąc jednak wykonać zadanie bez względu na trudności wydano rozkaz pozostawić w lesie i zniszczyć wszystkie zbyteczne wozy poza sprzętem czysto bojowym. Trzeba też było zostawić i zniszczyć część czołgów. Benzynę z pozostawionego sprzętu i czołgów przelano do tych, które pójdą z nami na Montbard.

Francuski oficer łącznikowy przy sztabie Brygady, płk. Duchon, obecny przy wydawaniu tych rozkazów, zdziwił się niepomiernie i nie mógł zrozumieć, dlaczego pozostawiamy w lesie część sprzętu i czołgów. Gdy zaczęto tłumaczyć przyczynę, oświadczył, że podejmuje się nam dostarczyć natychmiast . . . bonów na benzynę.

W międzyczasie powrócił z rozpoznania por. M. Aż do Laignes miejscowości są wolne, na drogach ogromne zatory, w Tonneres są już poważne oddziały niemieckie. W Montbard nie był, ale podobno od rana są tam Niemcy —jest przejście koło Dijon, mamy jednak rozkaz wyraźny "uchwycić przeprawę w Montbard."

Jest godz. 15.00. W lesie zaczynają padać pojedyńcze strzały, początkowo rzadko, poczym częściej, aż dochodzi do dobrej strzelaniny karabinów maszynowych. Nasze placówki ostrzeliwują patrole niemieckie, które już ze wszystkich stron podjeżdżają do naszego miejsca postoju. Przetankowanie benzyny, przeniesienie amunicji i rzeczy z wozów pozostających odbywa się już pod ogniem.

O godz. 16.00 wymarsz. Po wyciągnięciu na szosę, gdy czoło dojechało do pierwszego zakrętu walą w nas prosto czołgi niemieckie. Naprzeciw nim wyjeżdżają dwa nasze czołgi. Strzelanina . . . zajeżdżają nasze działka przeciwpancerne i pod osłoną ich ognia skręcamy ze skrzyżowania na prawo, żeby po 500 metrach znowu skręcić w małą dróżkę leśną, ponieważ mamy już ogień czołgów z szosy głównej.

Niestety część szwadronu nie widzi po prostu skrętu w boczną dróżkę i wali prosto szosą na Niemców. Mjr. Z. jest wściekły. Każdy kierowca ma dokładny szkic marszu, ale pod tym ogniem nie zauważyli pewnie tego skrętu. Brak nam plutonu por. G. i ppor. P. Rtm. E. wsiada na motocykl, goni za nimi setką, to samo z rozkazu mjr. Z. robi por. K. Wracają obaj po kilku minutach. Nie dogonili ich. W następnej miejscowości są czołgi niemieckie. Możliwe, że jadąc pełnym gazem przerwali się na drugą stronę wsi.

Nie możemy dłużej czekać. Straż przednia Brygady jest już daleko przed nami, my należymy do sił głównych i nie możemy zbytnio zostać w tyłach.

Wieczorem ogon naszej kolumny został napadnięty w Laignes przez niemiecki oddział pancernomotorowy. Nasi z miejsca zrobili przeciwuderzenie. Odrzucili Niemców i wzięli 30 jeńców. Niestety sami też mieli straty. Działanie to tak opóźniło ich w czasie, że zostali odcięci od Brygady, której stany przez to zmalały.

Po przejściu Laignes "korków" już nie było. Natomiast wszystkie grupki marudérów i ludności cywilnej szły naprzeciwko nas w kierunku północnym z panicznymi wiadomościami, że w Montbard jest bardzo dużo Niemców. Dziwili się, że mimo tych wiadomości idziemy w stronę nieprzyjaciela.

O godz. 22.00 straż przednia natknęła się na barykadę i ogień na północnym skraju Montbard. Na szosie leżało już sporo rozbitych wozów, trupów żołnierzy i koni francuskich, postrzelanych przypuszczalnie z zasadzki.

Gdy szwadron nasz podjeżdżał pod Montbard, brak nam było tylko jednego wozu z 1-go plutonu. Por. G. nie dołączył. Wszystkie inne wozy, tak jak przypuszczaliśmy przejechały pełnym gazem przez wioskę zajętą przez Niemców, którzy zdążyli do nich zaledwie kilka razy wystrzelić. Pierwsze dwa wozy miały zupełnie postrzelane błotniki. Co się dzieje z por. G. niewiadomo.

Już w zupełnych ciemnościach usłyszeliśmy rozkaz: "Do walki pieszej, z wozów!" Piorunem byliśmy na czole. Obok D-cy szwadronu stał gen. Maczek. Zobaczywszy nas nadbiegających krzyknął: "Macie wszystkie karabiny maszynowe?" W biegu odpowiedziałem: "Tak jest!"—I na przód. . . .

Strzelanina była już tutaj silna. Drugi szwadron, który nacierał w straży przedniej uderzył bardzo szybko na bagnety. Uderzenie to wsparte czołgami doprowadziło do wyrzucenia Niemców z przedmieścia. Szwadron ten jednak nie miał już w dniu dzisiejszym swoich karabinów maszynowych, a na dodatek jeszcze zupełny brak map nie pozwolił na zorientowanie się w jakim miejscu miasta są mosty na kanale. Skutek był taki, że natarcie 2-go szwadronu poszło niepotrzebnie wzdłuż ulic, które skręcały w lewo, zamiast właściwego kierunku do mostu w prawo.

Przy pierwszym rozwidleniu ulic zatrzymaliśmy się. D-ca szwadronu otrzymawszy rozkazy, miał je za chwilę podać d-com plutonów. Cały czas ze strony niemieckiej szły serie karabinów maszynowych. Strzelali świetlną amunicją. Piękny był widok pędzących pocisków, z których każdy zostawiał za sobą jasno czerwoną smugę. Nasze karabiny maszynowe jeszcze czekały. Miałem dopiero za chwilę otrzymać rozkazy.

— "Podać po linii! Dowódcy plutonów na czoło!" Dobiegłem do rtm: E. Stał już ppor. P. i ppor. K. Ze mną podch. S., działonowy moich moździerzy. W lewo od nas teren wznosił się zupełnie stromo w górę, z prawej jakiś ogród, krzaki i zabudowania. Przed nami rozwidlenie ulic, ale widać zaledwie na kilka kroków. Słyszę jak z prawej strony woła coś mjr. Z. do swego adjutanta. W którym miejscu stoją obaj trudno dojrzeć. Rtm. E. woła nas zupełnie blisko do siebie i mówi:

— "Nacieramy wzdłuż tej ulicy przed nami, ale od rozwidlenia w prawo. Natarcie 2-go szwadronu w tej chwili się nie posuwa. Wjedziemy razem z czołgami przed nich i mamy zdobyć mosty, podobno są dwa. Teraz uwaga, wydam rozkazy szczegółowe. Ppor. P. ze swoim plutonem. . . ."

W tej sekundzie ruszył się dość dziwnie ppor. P. i coś upadło na szosę. Zdawało mi się, że była to lornetka albo pistolet, który każdy z nas trzymał w ręku. Tak sądziłem po samym stuknięciu o ziemię. Nie minęła następna sekunda, gdy rozległ się potężny huk i ujrzałem żółto-czerwony błysk. Zaszumiało mi w uszach potwornie. Automatycznie i podświadomie wykonałem skok w lewo tuż obok jakiejś ściany.—Granat!—Teraz dopiero sobie to uprzytomniłem.

W tej chwili zaczęli po nas jeździć seriami CKemów. Ktoś za mną jęczał. Usłyszałem krzyk: "Pan rotmistrz ranny!" Podbiegłem do tyłu. Dwóch ułanów trzymało pod ręce D-cę szwadronu. "Gdzie ranny?" "W lewą nogę, w lewe ramię i dwa razy w lewą pierś." Pomogłem rozciąć mundur, sanitariusz okręcił ranę na nodze i na ramieniu, wydałem rozkazy odniesienia rotmistrza do tyłu. W tej chwili rotmistrz krzyknął słabym głosem: "Na przód chłopcy!"—Zabrano go do wozów.

Podbiegłem do d-cy dywizjonu, który już wydawał rozkazy dowódcom plutonów. Krzyknąłem: "Podchorąży S. do mnie." Po chwili ktoś odpowiedział: "Podchorąży S. ranny." Zgłosił się jego zastępca. W chwili, gdy otrzymywałem rozkazy wychodził w prawo pluton ppor. K., w lewo wskos miał iść ppor. P., a ulicą na wprost miałem nacierać ja z karabinami maszynowymi.

Mieliśmy załadowaną świetlną amunicję i po chwili pięć karabinów maszynowych zaczęło grać wzdłuż ulic, aż przyjemnie było słuchać. Ludzie nasi byli po raz pierwszy w boju nocnym i do tego w walce ulicznej.

Przeszliśmy linię drugiego szwadronu. Podali nam, że jakieś 80 mtr. przed nimi są już Niemcy, podobno dużo. Zaczęliśmy się skradać, jak koty. Ustawiłem jeden karabin z jednej strony ulicy, drugi z drugiej i na dany sygnał pierwszy zaczął grzać na wprost, a w świetle jego serii drugi dopiero szukał celów. Po pierwszej serii nie było odpowiedzi, ale już w czasie drugiej wyrżnęli do nas w sam środek ulicy.

Teraz zobaczyłem wyraźnie, gdzie stoi ich karabin maszynowy. Ułan S. aż krzyknął z uciechy: "Są!" Teraz już ich mamy. Obaj celowniczowie już dokładnie wiedzieli, gdzie trzeba strzelać. Na rozkaz: "ognia!" oba C. K. emy oddały pełne serie. Widziałem wyraźnie, jak dwie sylwetki Niemców zrobiły skok do tyłu, jeden pewnie dostał, bo upadł na środek ulicy.

Rozpoczęliśmy natarcie. Jeden karabin strzelał, a drugi obsługa odciągała na kilka metrów na przód. Z każdej bramy, z każdego zaułka mogło wyskoczyć kilku Niemców na nasze karabiny. Mieliśmy wszyscy w ręku granaty. Miały one ich przyjąć odpowiednio.

Po czwartej serii nie było odpowiedzi. Mając pistolet w prawej ręce, a granat odbezpieczony w lewej, wysunąłem się powoli do przodu, wykorzystując każde załamanie muru. Cisza. . . . Z innych ulic dobiegają odgłosy strzałów karabinowych i wybuchy granatów. Nie odróżniam dobrze, ale może to być też artyleria.

Słucham. Przede mną w ulicy żadnych rozmów ani szmerów. Głośno podaję do pierwszego karabinu rozkaz: "Długa seria ognia!" Teraz widzę wyraźnie karabin niemiecki i koło niego ktoś leży, pewnie trup. Jeden leży też na ulicy. Dzieli nas jakieś 20 mtr. odległości. Cofam się do tyłu i wołam swój poczet. Idziemy ostrożnie wszyscy na przód. Z jakichś 10 mtr. odległości słyszę jęki bardzo ciche. Podchodzimy . . . dokładnie na wprost lufy karabinu niemieckiego. Jeden skok i jesteśmy już przy nim. Dobiegam do leżącego, jęczy.

W chwili gdy się dobieramy do karabinu, żeby go obrócić w stronę Niemców, pada krótka seria z bardzo bliskiej odległości. Chowamy się wszyscy za występami muru. Druga seria jest dłuższa i pada z przeciwległej strony ulicy. Mówię półgłosem do Stasia C.: "Niech prawy CK przesunie się aż na zakręt w chwili, gdy lewy zacznie strzelać." Staś wolno cofa się do tyłu, skok na drugą stronę ulicy, i słyszę jak półgłosem powtarza rozkaz drużynowemu.

W chwili, gdy już mam wydać rozkaz: "Ognia!" dla lewego karabinu, słyszę jakieś odgłosy w tyle za sobą. Okazuje się, że przyszedł do nas ppłk. M. dowódca naszych czołgów. Twierdzi, że Niemcy już się powoli wycofują na prawym skrzydle, ale środek, ten właśnie przed nami jest najmocniejszy i niewiadomo, co tu jest. Czołgi są na prawym skrzydle i w tej chwili są wszystkie związane w akcji. Pytam się, jak się nasi chłopcy tam biją, mówi, że doskonale, ale już jest kilku zabitych i kilkunastu ciężko rannych.

Urywamy naszą rozmowę, bo w tej przerwie ogniowej usłyszałem jakiś szum ze strony niemieckiej, jakby czołg albo motocykl. Szum się przybliża, podch. St. staje przy mnie za węgłem, ma karabin tak wystawiony, że na jezdnię wysadził tylko bagnet, a reszta schowane. Krzyczę półgłosem: "Granaty!" I sam przebiegam na prawą stronę ulicy, bo stamtąd widać lepiej ten zakręt.

Słyszę już wyraźnie, że to jedzie motocykl i to na wolnym biegu. Jest już tuż, tuż . . .! Wszyscy mają nerwy napięte jak struny— Dojeżdża do nas. . . . Pada strzał. Podch. St. po prostu nastawia bagnet przed piersi Niemca, który siłą rozpędu nadziewa się na niego. Motocykl się wywraca, a podchorąży jednym skokiem jest przy Niemcu. Robi krótkie i tak mocne pchnięcie, że cienki bagnet francuski przebiwszy motocyklistę i trafiwszy na twardy bruk zgina się prawie w półkole. Słyszę głośny okrzyk: "Masz, sukinsynie, to za mego Ojca!"

Nad jęczącym Niemcem pochyla się kilka twarzy, rozkazuję wszystkim odejść na stanowiska, a sam przyciągam za rękę Niemca pod ścianę, gdzie wraz z płk. M. staramy się wydobyć od niego wiadomości, czy mają artylerię i ilu ich jest. Po kilku zapytaniach odpowiada, że artylerii nie ma, ale już dalej jęki jego są co raz słabsze i widać, że kona. Każę go odciągnąć za róg, motocykl odsyłam do tyłu i rozpoczynamy dalej natarcie. Teraz dopiero dziwi mnie to, że jechał dość wolno w naszą stronę—po co on tu jechał? .

Znowu odbezpieczam granat, w prawej pistolet i wychodzimy na zakręt. Seria i to z obu stron ulicy, pociski lecą zupełnie nisko nad brukiem, po prostu stojąc przyparty do muru, widzę jak obok mnie padają o jakieś 20-30 ctm.

Przerwa. Nasz prawy karabin robi skok. Dobiegli do mnie. Celowniczym jest ułan H. a taśmowym, nie wiem dlaczego, zrobił się ułan S., ale nie jest to ważne w tej chwili. Chodzi o to, aby jak najprędzej otworzyć ogień. Za chwilę pada seria. W świetle naszych pocisków widzę stanowiska obu karabinów niemieckich. Są około 30 mtr. od nas. Seria się kończy. Zmiana taśmy, w tej chwili oba karabiny zaczynają grać. Ułan H. coś krzyknął i widzę skurcz bólu na jego twarzy. Pochylam się nad nim i pytam się co mu jest "Noga, noga . . . !"—"Psiakrew, dostali mnie! . . ." Biorę go z ułanen S. pod ręce i odciągamy za załamanie muru. Każę pozostałej części opatrzyć go, a potem odprowadzić do tyłu. Okazuje się, że dostał dwa pociski w lewe udo.

S. siada jako celowniczy, a ja biorę taśmę i pakuję ją sam do karabinu. Mówię do niego, żeby nie strzelał w ciemność, dopiero jak lewy karabin zacznie. Po chwili z lewego biją długą serię. Obaj z S. widzimy wyraźnie hełmy niemieckie. S. naciska na spust, krótka seria, potem przerwa i długa seria. Wygląda, że trafił w samo stanowisko, ale po chwili Niemcy odpowiadają.

Znowu prażymy kilka s[illegible]. Decyduję się na wykonanie jeszcze jednego skoku. Z tyłu słyszę głos rannego ułana H., który namawia ułana G. chcącego wynieść go do tyłu, żeby go tutaj zostawił, a sam szedł do przodu z karabinami. Dzielny chłopak! ciężka rana w nodze i wykazuje taki charakter. Brawo! Daję ułanowi G. rozkaz wyprowadzenia H. i przyniesienia skrzynki z amunicją, a sam wraz z obsługą pierwszego karabinu podciągamy po cichu załadowany karabin do przodu. . . .

. . . Huk piekielny przerywa to. Granat rąbnął na samym środku ulicy. Kilka kroków przed nami. Wygląda to, że ktoś musi być albo w oknie, albo tuż za załamaniem przed nami, jakieś kilka metrów. Znowu dzwoni mi w uszach, ale jestem jeszcze bardziej wściekły na nich. Był to zaczepny "Handgranat." Huku dużo, ale skorupka cienka, i mało niebezpieczny. Strat nie ma.

Każę obydwu karabinom strzelać do okien po przeciwległych stronach ulicy. Rozbite szyby dźwięczą niesamowicie. W świetle tych serii widzę, jak skulona sylwetka odrywa się od załamania muru, jakichś siedem kroków przede mną i biegnie w tył. Bez namysłu strzelam z pistoletu. Dwa strzały—upadł! Mam go!—Ale nie, psiakość wstał i chce biec dalej. Teraz celuję dłużej,—strzał—widzę wyraźnie, że dostał.

W tej samej chwili karabin niemiecki z lewej wali długą serię—prawy milczy, ale nasz lewy też przestał.—"Co jest do cholery!"—"Zacięcie!" Niech to szlag trafi, akurat teraz. Słyszę trzask mechanizmu zamkowego, raz, drugi, ale ognia nie ma. Dzielny S. wali ze swego serię za serią. W ułamkach sekundy kombinuję, jak ich stąd wyrzucić.

Kamil Bogumił Czarnecki

Z życia obozów

Rozmowa z pilotem polskiego lotnictwa bombowego

Na ziemi angielskiej odrodziło się nie tylko polskie lotnictwo myśliwskie, lecz odrodziło się również i polskie lotnictwo bombowe.

W kraju lotnictwa bombowego mieliśmy bardzo mało, bowiem w dniu najazdu Niemiec na nasze ziemie były gotowe do pracy zaledwie cztery eskadry "Łosi" i pięć eskadr "Karasi" (te ostatnie jako eskadry lekkiego bombardowania). "Łoś," samolot nowoczesny, dwusilnikowy, mógł zabrać 2000 kg. bomb. "Karaś," samolot mniej nowoczesny, jednosilnikowy—zaledwie 600 kg. bomb.

Te kilkadziesiąt samolotów lotnictwa bombowego w Polsce, rzecz jasna, nie mogło zaważyć na ogólnej szali walk wrześniowych. Nie mniej jednak bombardowania przeprowadzone przez te eskadry wykazały nie tylko odwagę, brawurę i wolę walki naszych lotników, lecz również ich duże wyszkolenie i w poszczególnych wypadkach zadały poważne straty nieprzyjacielowi.

Personel techniczny tego lotnictwa wykazał również nie tylko umiejętność w pracy, lecz również wielką ofiarność, odwagę i przez to wolę walki, pracując często pod gradem bomb, pobierając materiały pędne, amunicję i bomby z magazynów, będących prawie zawsze pod bombardowaniem i obstrzałem samolotów niemieckich. Praca w tych warunkach była bardzo ciężka nie tylko dla personelu latającego, lecz również była ciężka i dla personelu technicznego, który zdał swój egzamin nie tylko fachowy, lecz także i egzamin bojowy. Jak lot na bombardowanie jest niebezpieczny wobec czynnej obrony ziemnej, tak samo i praca na lotniskach w wojnie dzisiejszej jest równie niebiezpieczna wobec bombardowania lotnisk przez lotnictwo bombowe nieprzyjacielskie, co było regułą w Polsce, a później we Francji.

Personel polskiego lotnictwa bombowego we Francji nie był w pełni wykorzystany. Po znanych wypadkach wszyscy lotnicy polscy znaleźli się w Anglii. Dzięki umowie wojskowej polsko-angielskiej, zawartej przez Naczelnego Wodza Generała Sikorskiego, możliwości zorganizowania polskiego lotnictwa na terenie Anglii zostały rozszerzone. O ile poprzednia umowa polsko-angielska w odniesieniu do lotnictwa umożliwiała zorganizowanie szczupłych sił, o tyle umowa obecna zezwala na wykorzystanie wszystkich możliwości.

Jednostki bombowe polskie, zorganizowane przed tym, po krótkim przeszkoleniu na nowym sprzęcie biorą już udział w zadaniach bojowych bombardowania obiektów wojskowych wroga. Obok nich powstają dalsze jednostki polskiego lotnictwa bombowego.

Z jednym z pilotów polskich dyonów bombowych przeprowadziliśmy rozmowę na temat pracy i wrażeń osobistych z bombardowania bojowego.

—"Do zadań bombardowania w każdej dziedzinie przygotowujemy się bardzo sumiennie, ściśle i dokładnie. Zwykle o locie na wyprawę bombową wiemy na parę godzin przed tym, otrzymując krótki rozkaz bojowy. Załogi uzyskują następnie bardzo dokładne dane, wskazówki i szczegóły odnośnie położenia celu, jego charakteru i inne, potrzebne informacje co do trasy lotu i szczegółowe wiadomości odnośnie wykonywanego zadania. Chodzi wszak o to, by cel w określonym czasie odszukać i by bomby były celne, jak również, by wrócić samemu cało. Po dokładnym omówieniu wszystkiego, z kolei załogi każdego samolotu uzgadniają między sobą czynności na czas lotu i w trakcie bombardowania.

Przed lotem sprawdza się i kontroluje, czy w dziedzinie technicznej wszystko jest dobrze przygotowane. Sprawdzamy, bo tak jest nakazane. Nasi mechanicy z taką sumiennością, dokładnością i ofiarnością wszystko przygotowują, że właściwie sprawdzanie jest zbędne. Pracujemy wszyscy i walczymy w jednej broni. Praca jest podzielona, personel techniczny przygotowuje wszystko na ziemi—my wykonywujemy dalszy ciąg pracy w powietrzu, inni jeszcze kierują całością pracy naszej i mechaników. Dokładne zgranie wszystkich dziedzin broni lotniczej decyduje o powodzeniu. Takie właśnie dokładne zgranie wszystkich sprężyn lotnictwa jest w Anglii.

—Czy możemy dowiedzieć się czegoś bliższego o organizacji polskiego lotnictwa bombowego w Anglii?

—"Owszem, dowiedzą się o tym Panowie po wojnie, o której wygraniu zadecyduje silne lotnictwo angielskie. Mogę tylko to powiedzieć, że zgodnie z niedawną polsko-angielską umową wojskową stanowimy całkowicie samodzielne jednostki polskie i walczymy obok zgrupowań angielskiego lotnictwa bombowego, pod wspólnym dowództwem angielskim, co jest zupełnie naturalne. W potocznym języku mówi się: R.A.F. i P.A.F. walczą razem z jedną i tą samą myślą—bezwzględnego zwycięstwa, a zwycięstwo niezawodnie będzie nasze."

—Prosimy o podzielenie się z czytelnikami "Polski Walczącej" wrażeniami z lotu bojowego.

—"Mymi osobistymi przeżyciami chętnie się podzielę.

Pewnej pięknej nocy, takiej, jakie są z reguły we wrześniu w Polsce, nocy marzeń jesiennych, wystartowałem na zadanie bojowe.

Nabieranie wysokości, czekanie na rozkaz przez radio "Go" i sam lot nad terenem Anglii, są, przypuszczam, mało interesujące dla czytelników, to też rozpocznę od przekroczenia wybrzeża morskiego Anglii.

Noc, jakkolwiek jasna, była mimo to mało przejrzysta, spowodu lekkiej mgiełki, zasłaniającej horyzont. Ciemny brzeg ziemi wyraźnie odcinał się od trochę jaśniejszego tła morza. Nie zawsze tak jest, ale tak było tej cudnej nocy.

Lot nad morzem jest trochę nużący z powodu swej monotonii, drogę wskazuje wyłącznie igła magnetyczna.

Po pewnym czasie ujrzałem przeciwległe brzegi lądu. Wiedziałem, gdzie jestem, a prócz tego drogę do celu wskazywały mi ognie rozrywających się pocisków artyleryjskich i różnobarwna gama świateł reflektorów, pełzających po niebie. Ostrzeliwali mego poprzednika i starali się złapać go światłami reflektorów. Była to istna orgia ogni, jaką się czasem widywało u nas na wielkich festynach z okazji urządzania wianków, lub innych.

Te światła ciągnęły mnie ku sobie, podświadomie przyśpieszyłem szybkość samolotu. Orgia ogni wywoływała w sercu nienawiść i burzę uczuć. Musiałem jednak uczucia me tłumić. W powietrzu trzeba być zimnym i wyrachowanym tak, jak wrogowie zimni i wyrachowani byli i są u nas w kraju. Pracę bombardowania trzeba spełniać dokładnie, by każda bomba była celna, by każda bomba wyrzucona z samolotu osłabiła siłę militarną Niemiec, by każda przyczyniła się do prędkiego wyzwolenia kraju.

Wkrótce byliśmy nad celem. Nerwowe światła reflektorów, nie chcąc zdrazić celu, zgasły. Cel widziałem jednak bardzo wyraźnie. Widziałem wyraźnie basen portu ze stojącymi tam ciasno okrętami i barkami niemieckimi. Tam miałem rzucić bomby.

Artyleria starała się zdjąć mnie swymi pociskami, ognie pocisków rozrywały się ze wszystkich stron.

Spokojnie przygotowałem wszystko do wyrzucenia bomb. Po skręcie wyszedłem dokładnie na cel, pochyliłem lekko samolot i nacisnąłem na spust wyrzutnika bombowego. Pierwsze bomby oderwały się od samolotu. Patrzałem w dół. Za chwilę błysk wybuchu bomb upewnił mnie, że trafiłem dobrze. Sądzę, że niejedna barka poszła na dno.

Artyleria wzmocniła swój ogień. Błyski rozrywających się pocisków artyleryjskich tańczyły w okół mego samolotu co raz bliżej. Różnokolorowe światła reflektorów zaczęły biegać nerwowo po niebie, chcąc złapać mój samolot. Wymykałem się im i splanowałem trochę niżej.

Nadleciałem nad cel drugi raz. Bomby tym razem rzucał obserwator. Dojrzał jakiś większy okręt, który oświetlony był przez wyrzuconą przed tym bombę świetlną. Naleciałem na cel, znowu lekko pochyliłem samolot i zwolnione bomby znowu spadły. Za chwilę widziałem je w celu.

Pociski artyleryjskie i światła reflektorów stały się jeszcze bardzie nerwowe. Strzelec samolotu zagrał na swych karabinach maszynowych i swymi celnymi strzałami kilka reflektorów zgasił.

Nadleciałem nad cel trzeci raz. Bomby i tym razem były celne.

Zadanie bombardowania było wykonane. Skierowałem samolot na stanowiska ciężkiej artylerii, której ognie widziałem i posłałem im jeszcze trochę kul ze swych karabinów maszynowych.

Czas mi się kończył. Nie mogłem dłużej siedzieć nad celem. Trzeba było zrobić miejsce następnemu samolotowi.

Wracaliśmy do swej bazy po dobrze spełnionym zadaniu. Artyleria próbowała dosięgnąć nas jeszcze nad morzem, ale napróżno. Czułem się zupełnie pewnie, byłem zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku i nie siliłem się nawet uciekać ze smugi reflektora, który mnie uchwycił.

Wszystkie nasze załogi wróciły i wszystkie zadania swoje wykonały. Jako potwierdzenie dokładnej naszej roboty przyszła rano od angielskiego dowództwa bombowego depesza w języku polskim: "Brawo Chłopcy."—

My również wraz z całą emigracją i wraz ze wszystkimi, pozostałymi tam w kraju mówimy zgodnym chórem: "Brawo Lotnicy."

Półkozic

"DALEJ CHŁOPCY, DALEJ ŻYWO..."

Nowe słowa do śpiewki kosynierów krakowskich, śpiewane w obozach Wojska Polskiego w Szkocji.

Dalej chłopcy, dalej żywo
Rychłe nam się zacznie żniwo,
A ze żniwem razem młocka
Aż zadudni ziemia szkocka.

Potośmy tu wędrowali,
Byśmy mocno Niemca prali.
Wymłócimy ich jak snopy
—Cóż to, bośmy to nie chłopy?.

Choć się zlecą pruskie sępy
Nie oddamy im tej kępy,
Więc za rajfle i granaty
By połamać szwabom gnaty.

Społem Polacy i Szkoty,
Jak się wezmą do roboty
Ścigać będziem ich za morze,
Dopomóż nam Panie Boże.

Wtedy do Ojczyzny droga
Znajdzie się na karkach wroga,
A więc na przód marsz Polacy,
Nie żałujcie waszej pracy.

Wy, rodacy z Ameryki
Śpieszcie stawać w nasze szyki
Kto poczciwy, ten z ochoty
Tu do młocki, do roboty.

"Ewidencja"

Rzecz jasna, w każdej kompanii w obozie musi być kancelaria. Bo to bez papierków nie obejdzie się. Raporty, rozkazy, meldunki pisemne . . . a ostatnio: "Ewidencja."—Szczególnie ewidencja!

Każdy z nas żołnierzy, co to jeszcze we Francji przechodził niezliczone spisy i podpisy wie co oznacza to groźne—z pozoru niewinne słowo: "ewidencja."

Ewidencja—to srogi nakaz w chwili poobiedniej drzemki w namiocie: "Plutonami, po kolei do kancelarii"—to przerwa w dobrze zasłużonym odpoczynku, by zaspanym głosem, bezmyślnie, jak automat, odpowiadać na pytania siedzącego za stołem jegomościa z piórem. Co, gdzie, kiedy, data? Sypią się pytania, jak z rękawa. Mruczy wówczas jeden z drugim, że to już po raz tysiączny, albo, poco to znów, lub ile razy jeszcze trzeba tak będzie? Spocony, mimo wiatrem podszytej, namiotowej kancelarii pisarz tłomaczy się, jak może, że to nie on wymyślił to wszystko, ale że to rozkaz, a w międzyczasie pytania, pytania, data? imiona rodziców? . . .

Ćwiczenia tego dnia były skończone. Szedłem sobie do namiotu na dobrze zasłużony odpoczynek gdy . . . o źle! Naprzeciw mnie toczy się korpulentna figurka naszego szefa kompanii. Napewno nie bez złych zamiarów wobec mojej osoby. Znów pewnie jakieś "zbieranie papierków w rejonie" czy też inna jaka "zaszczytna" funkcja. Przeczucie nie omyliło!

—"Hallo! Piekarski. . . . Umiecie wy pisać?

—"A no analfabetą i niepiśmiennym nie jestem. Pisało się kiedyś panie szefie i to nawet dużo. Z tego chleb jadałem. Teraz to już wyszedłem z wprawy. Ale kto wie czy od biedy nie zdołałbym sklecić jakiegoś felietonu."

—"Bez żartów Piekarski—nie chodzi mi o te tam jakieś głupstwa, coście do gazet pisywali, ale o to czy potraficie pisać w kancelarii? Potrafilibyście ściągać ewidencję? Bo to sierżant Sobczyński za dużo ma pracy, więc trzeba pomocnika. Zresztą maszerować do kancelarii to już tam wam wytłomaczą o co chodzi."

——"Rozkaz, panie szefie!"

W ten sposób pasowany zostałem na maszynę do pisania swojej kompanii w jednym z obozów W.P. w Szkocji.

Przez kilka dni jakoś nie było mowy o ewidencji. Pisało się rozkazy, meldunki, spisy, pisemka, wykazy. . . . Coś czwartego dnia po objęciu funkcji "mistrza pióra" nadeszła jednak owa ważna, jak mi to wytłomaczył szef kancelarii chwila.

—"Trzeba to zrobić dokładnie, zwięźle, przejrzyście i jak najszybciej"—tłomaczył mi dalej, wręczając plik porubrykowanych, drukowanych kartonów.

Od tego dnia żyję tylko i wyłącznie ewidencją.

Rozpoczęły się wyłapywania kolegów na indagację, całodniowa pisanina odpowiedzi do najrozmaitszych rubryk i rubryczek i . . . o dziwo. Dziś, mimo że niby to wszystko nudne i suche, jeśliby kto mi powiedział, że to praca nieinteresująca sprzeczałbym się do upadłego.

Bo to proszę: wpisywanie dat, cyfr, słów krótkich zeznań—z pozoru zwięzłe i oschłe jak urzędowy papierek nakazu płatniczego a w rzeczywistości ileż w tym treści!

Rzućmy okiem na rubrykę "Urodzony w . . . data." Prawie sami młodzi, bardzo młodzi, czasem chłopcy ze szkolnej ławy, a już weterani dwu kampanii—tamtej w Polsce i tej we Francji. Ze wszystkich stron polskich ziem: Ślązacy, Małopolska, Królestwo, daleka Wileńszczyzna, Pomorze.

Młodzi. Ale są i tacy co już raz widzieli zmartwychwstającą Polskę, by przeżyć po dwuch dziesiątkach lat jej powtórny upadek. Budowali gmach swej ojczyzny przez tyle lat swoją pracą, ciężkim trudem robotnika, rolnika, inteligenta, żeby zobaczyć owoc swego znoju niszczony ogniem i mieczem wojny. Ale i ci, jak młodzi idą znów razem w jednym szeregu, by w chwili wyzwolenia Ojczyzny od nowa rozpocząć swój trud budowniczych nowej Polski.

Rubryka skąd przybył do Francji, by się zaciągnąć do formującej się tam polskiej armii opowiada nam o wędrówkach po wszystkich krajach Europy o głodzie i chłodzie, więzieniach, niewoli, obozach koncentracyjnych, śmiałych ucieczkach spod niemieckich bagnetów, zza zasieków drutów kolczastych, by walczyć—walczyć dalej do upadłego. Studenci, uczniowie, obok rzemieślnika, robotnika, rolnika: wszyscy dalej ramię przy ramieniu, razem w jednym szeregu—walczyć.

Rubryka: "Kogo zawiadomić w razie wypadku."

—"W razie wypadku" . . .

—"Kolego! W razie mojej śmierci kogo macie zawiadomić kiedy nie mam adresu, ani żony, ani rodziców? Wiem tyle, że wypędzono ich z domu. Gdzie są teraz . . . czy żyją? Bóg jeden wie! Zakopcie mnie—ot i cała parada!"

Matka! . . . Boże, gdybym ja teraz mógł chociaż kilka słów pociechy przesłać, tam, do niej, że żyję, że jestem dalej tam gdzie powinienem: w szeregu walczących, że wrócę, bo muszę wrócić!

Tak. Wielu, wielu, jest wśród nas tych, których niemiecka bezlitosna przemoc pozbawiła tego co mu najdroższe. Ojczyzny, dzieci, rodziców, żony. Pozbawiła domu, wygnała na tułaczkę ciężką i twardą. Tylko jednego pozbawić nie mogła. Wiary w posłannictwo polskiego żołnierza. Tysiączne bagnety Armii Polskiej zadokumentują to czynem twórczym Zwycięstwa.

Bolesław K. Piekarski

ŻÓŁTY LISTEK

Chocioześmi nie ôdrzekła
Na ten list haw z grani,
Pise do cie odroz kilka
Moze któryś trafi.
Pise cięgiem,
Roz ołówkiem
A roz łzami w dusy
Moze ktoryś się sabłąko
Jak dziod w łoktusy.
Opowie ci o kochaniu
I o nasem wędrowaniu,
O cierpieniu i weselu
I o innych rzecach wielu.
Co rania, kiej spojrze,
Na mojem posłaniu
Lezy liścik mały . . .
Słów na nim nie dojrze
Zółty on ci cały.
Juz po roz drugi na nasc.
wygnaniu
Takie, ci listy dostaje.
Cytaćzem się na nich naumioł
I wiem o wszyćkiem.
Wiem, ze sosnie nase nie sumią
Tak jak downi wesoło,
Wszedy jest nuda
I wszedy nie swojo.
Ino casem holny zawieje. . . .
Casem coś w skoli zadudni. . . .
W sercu sie legną nadzieje. . . .
Ej! bedzie jesce dobrze w południe
Nasego zycia Hanusiu.
Wiem ze i u nos zółte lecą liście,
Cytoj z nich Hanuś
Jak jo cytom twoje,
Ze o cie myśle,
Ze mos serce moje
Caluśkie.
Cytoj, ze wnetki. . . .
Ze nie długo cekać
Ze błyśnie pieron z Giewonta
Ze sie potocą z niego kamienie
I skońcy sie nasa rozłąka.

Józef Wieszczek

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

GENERAŁ SIKORSKI

Stale wzrastająca popularność wojska polskiego śród naszych rodaków w Ameryce wyraża się nie tylko w licznie drukowanych artykułach i pamiętnikach wojennych oraz w zapełniających czasopisma polskie wiadomościach z życia armii polskiej, ale również w całkowitym przestawieniu służby ilustracyjnej tych pism, które ilustracje zamieszczają. Fotografie z życia obozów polskich w Szkocji, rysunki artystów na tematy wojskowe, a nade wszystko zdjęcia z uroczystości wojskowych, w których bierze udział Wódz Naczelny, nie schodzą ze szpalt polskich dzienników.

Opinii amerykańskiej niesłychanie schlebiają przy tym głosy prasy angielskiej, podnoszące z prawdziwym uznaniem stanowisko żołnierza polskiego a w szczególności stanowisko lotników.

Przekonanie, że ten świetny stan szczupłej, ale doskonałej armii polskiej mamy do zawdzięczenia Generałowi Władysławowi Sikorskiemu jest w prasie amerykańskiej powszechne. "Dziennik Związkowy" z Chicago daje temu przekonaniu pełen wyraz w charakterystycznym artykule wstępnym p. tyt. "Mąż Opatrznościowy dla Polski—Generał Sikorski—Pracuje nad Doprowadzeniem Do Niepodległości Polski." Oto wyjątki z tego artykułu:

"Prawdziwym mężem opatrznościowym dla Polski w tej krwawej i niezwykłej wojnie jest Generał Władysław Sikorski, twórca armii polskiej we Francji, a teraz w Anglii. ... .

"O jego wpływy, zdolności, doświadczenie i głeboką naukę opiera się dzisiaj również Anglia i w nim leży nadzieja odbudowania Polski niepodległej po zupełnym pokonaniu Niemców.



"... Wszędzie w całej Anglii polscy żołnierze są przyjmowani serdecznie, z otwartymi rękoma, z niezwykłą gościnnością. Anglia pokazała Polsce serce. A to dzięki gen. Sikorskiemu, który nieustraszenie, twardo i nieugięcie stoi po stronie demokracji, po stronie Anglii i walczy z odwiecznym wrogiem Polski—Niemcami."

Również inne pisma zamieszczają stale artykuły i wiadomości, poświęcone osobie Wodza Naczelnego, nacechowane wielkim w stosunku do Niego pietyzmem.

AMERYKA JUŻ JEST W WOJNIE!

Stany Zjednoczone Ameryki Płn. zdążają wielkimi krokami do wmięszania się w wojnę po stronie Anglii. Opinia publiczna amerykańska do niedawna w swojej przewadze niechętna udziałowi w rozgrywce europejskiej—zdaje sobie co raz lepiej sprawę, iż obrona Anglii jest zarazem obroną Stanów Zjednoczonych, a klęska WBrytanii byłaby również zgubą dla Ameryki. Niedawno ieszcze uchwalenie bill'u o służbie wojskowej wymagało licznych debat i prawie trzech miesięcy czasu. Obecnie wnioski Prezydenta Roosevelta, idące w kierunku przyśpieszenia zbrojeń, uchwalane są z rekordową szybkością zarówno przez Senat jak Kongres, np. bill o obowiązku podporządkowania się zakładów przemysłowych wymaganiom władz obrony kraju. Bill ten, rewolucyjny w warunkach amerykańskich, daje Prezydentowi prawo sekwestru fabryk, które nie wykonają zleceń rządu w zakresie prac dla obrony kraju.

Niedawno jeszcze w społeczeństwie amerykańskim ogromna większość wojny nie chciała, a tylko najradykalniejsi zapytywali nieśmiało; "czy wystąpić?" Obecnie nikt niemal nie ma już wątpliwości co do tego, że prędzej czy później będzie trzeba zdobyć się na najwyższy wysiłek wojenny. Pytanie zamieniło się na wymowne i z biciem serca wygłaszane: "kiedy wystąpić?" Że tak jest, że olbrzymi potencjał amerykański jest dziś gotów opowiedzieć się po naszej stronie —w dużej części zawdzięczamy prasie polskiej w Ameryce i jej nieustającej kampanii przeciwniemieckiej oraz nieustającemu otwieraniu oczu współrodaków na rzeczywistość europejską.

Możemy śmiało powiedzieć, iż Stany Zjednoczone pod pewnym względem są *już* w wojnie. Wojnę tę przeciw Niemcom i Włochom prowadzą na niezliczonych odcinkach frontu wewnętrznego, zwalczając, łamiąc i niszcząc objawy dywersji i działalność piątej kolumny tak do niedawna powszechną w Ameryce. Sabotaże, tajemnicze wybuchy w fabrykach amunicyjnych i awiacyjnych, mafie szpiegoskie, pracujące na wszystkich odcinkach życia gospodarczego Stanów, otworzyły nareszcie oczy zarówno władzom bezpieczeństwa jak politykom amerykańskim. Prasa polska pełna jest doniesień z tego frontu walki. Dosadną charakterystykę tych doniesień, stwierdzających ponad wszelką wątpliwość, że Stany już walczą po naszej stronie, daje następująca notatka, zamieszczona w "Kurierze Codziennym":

Sabotaż w Fabryce Bath Iron Works w Maine

Znaleziono Gazolinę w 91 Gaśnikach Warsztatów Okrętów Wojennych w South Portland

South Portland, Me., 13 września. (UP).—Znaleziono gazolinę w 91 gaśnikach pożarnych w Bath Iron Works, gdzie znajduje się w konstrukcji kilka kontr-torpedowców rządowych, jak oznajmił porucznik policji stanowej Leon Sheppard.

Przemawiając przed miejscowym klubem Lwów zeszłej nocy, porucznik Sheppard oznajmił, że wstrząsającego odkrycia dokonano podczas przeprowadzania ostatniej inspekcji w warsztatach, które pracują nad zamówieniami floty amerykańskiej, oraz nad zamówieniami handlowymi na ogólną sume stu milionów dolarów.

Urzędnicy kompanii powiedzieli, że wydarzyły się w obrębie warsztatów dwa mniejsze pożary w ostatnich dniach, ale nie znaleziono dowodów sabotażu.

Sabotaż jest niezawodnie dziełem agentów niemieckich.

R.A.F. NAD RZESZĄ

Za pośrednictwem prasy polskiej w Ameryce dochodzą do nas spóźnione, ale nad zwyczaj wymowne wiadomości o tym, czego RAF dokonywa w czasie conocnych nalotów na Niemcy. Anglicy, ze zwykłą swoją skromnością, nie zamieszczają nawet połowy szczegółów, które prasa amerykańska wydobywa ze źródeł neutralnych, a nawet jakimiś bliżej nieznanymi drogami potrafi uzyskać od swoich korespondentów w Rzeszy. Obraz zniszczenia w tych korespondencjach przedstawiany, zwłaszcza jeśli chodzi o Hamburg, Ruhrę, a również i Berlin—jest potworny. Wszystkie te wiadomości z niekłamaną satysfakcją powtarza prasa polska, przy czym, stopniowo poczynają one wyraźnie górować nad pełnymi współczucia opisami zniszczeń Londynu. Oto niektóre z nich:

"Według raportów korespondentów amerykańskich w Bremen od tygodnia nie gasną pożary wzniecone przez eskadry angielskie. Lotnicy z bombardowali prawie wszystkie doki. Ogień jest widoczny z nad granicy niemiecko-holenderskiej."

"W Essen samoloty angielskie po raz pierwszy—uszkodziły szereg domków robotniczych, mimo, iż alarmy lotnicze mają miejsce co noc od 10 maja"—ta wymowna depesza wskazuje sposób jakiego używają korespondenci amerykańscy, aby donieść, że zakłady przemysłowe w Essen są bombardowane co noc od 10 maja.

"Bombowce angielskie szybują nad Berlinem na niskiej wysokości, mniej niż 3,000 stóp, po oświetleniu swych tarczy rakietami spadochronowymi. Z zaporowym ogniem wszystkich baterii przeciwlotniczych z ziemi, lotnicy angielscy wcale się nie liczą. Jeden samolot rzucił długi sznur rakiet w górze wpoprzek miasta od zachodu na wschód a zawróciwszy rzucił drugą serię z północy na południe. Skoro tylko rakiety rozgorzały, artyleria rozpoczęła huraganowy ogień, co nie przeszkadzało bombowcom brytyjskim krążyć przez trzy godziny i bombardować upatrzone cele.

"Nastroje ludności w Berlinie są paniczne—z chwilą alarmu lotniczego — w restauracjach wszyscy rzucają napoczęte trunki i potrawy i uciekają do schronów. W schronach odbywają się rozdzierajace sceny. Kobiety płaczą i załamują ręce. Ulice zupełnie wyludnione, brak nie tylko przechodniów, ale również *i tych, którzy powinni* podczas nalotu być poza schronami."

Wymowny obraz stosunku prasy amerykańskiej do walk toczonych nad W. Brytanią stanowi załączona ilustracja, wzięta z "Dziennika Związkowego" w Chicago.

HUMOR AMERYKAŃSKI MILITARYZUJE SIĘ

Że nastrój wojenny opanowuje stopniowo Stany i prasę polską w Ameryce, świadczą również żarty, jakie na ostatnich stronach zamieszczają wszystkie dzienniki. Żarty te ze stylu "handlowego" lub "małżeńskiego" przechodzą stopniowo na styl "koszarowy." Oto przykład, wzięty z "Wiadomości dla Wszystkich":

Sierżant, lustrując żołnierzy, zatrzymuje się przed szeregowym Ciupałą:

— Jak ty, ofermo jedna wyglądasz? Jeszcze psiakrew, rozbrojenia powszechnego nie ma, żebyś ty bez guzika przy rozporku chodził!

Jerzy Pomian

Przegląd polityczny



Mapka przedstawiająca etapy rozbioru Rumunii, którego finałem jest spotkanie "wspólników": wojsk niemieckich, które obsadziły pola naftowe, i rosyjskich, które zajęły wieloramienne ujście Dunaju

Dnia 25 czerwca 1940 roku kanclerz Trzeciej Rzeszy i Führer narodu niemieckiego ogłaszał uroczyście "koniec wojny na Zachodzie." Na Anglię nie zwracano uwagi. Przeciwnie, zarówno nad Sprewą, jak i nad Tybrem oficjalna i jedyna zresztą prasa bagatelizowała siłę oporu Wielkiej Brytanii. Wejście Niemców do Londynu zapowiadano na 15 sierpnia. Następnie przesunięto tę datę na początek września. Potym na połowę. Kiedy wreszcie olbrzymia, pierwszy raz w dziejach świata podjęta ofensywa lotnicza eskadr niemieckich załamała się nad Anglią, a RAF zaczął co raz bardziej dawać się we znaki na terenie samej Rzeszy —*pojawiły się w prasie obu faszyzmów nieśmiałe opinie, że wojna będzie trwała dłużej, aniżeli to pierwotnie przepowiadano.* Atak skierowany w samo serce—nie powiódł się.

Z tego też powodu Niemcy szukają bez porównania łatwiejszych i tańszych sukcesów na Bałkanach i Bliskim Wschodzie. Po poddaniu Węgier gospodarczej i politycznej kontroli Niemiec—*następuje całkowita likwidacja Rumunii.* Wojska niemieckie zajmują rumuński obszar naftowy, armia króla Michała otrzymuje "instruktorów" niemieckich—*słowem niepodległość Rumunii staje się fikcją, podobnie jak "autonomia" Słowaczyzny.* Było to do przewidzenia, natomiast trudno było przypuścić brak jakiejkolwiek reakcji ze strony rządu i społeczeństwa rumuńskiego. Przeciwnie, dla mających nadejść wojsk niemieckich, buduje się specjalne baraki, dokładając starań, aby w nowo zajętym kraju, okupantom niczego nie brakowało. Bardzo charakterystyczny fakt, stwierdzający, *że są narody, które żdały egzamin zdolności do samodzielnego życia i są państwa, które swe istnienie zawdzięczają nie tyle własnej ofierze i poświęceniu, ile korzystnemu zbiegowi politycznych okoliczności.*

Okupacja państwa króla Michała wiąże się z wielkim planem niemieckim, w którym zajęcie Rumunii jest tylko pierwszym ogniwem. Chodzi tu o podjęcie na nowo dawnych, wielkich planów Wilhelma II, *to jest marszu na Wschód i urzeczywistnienie słynnej linii Berlin—Bagdad.* Poszczególne etapy tego pochodu w kierunku Persji i Indyj są następujące:

1) Niemcy usadawiają się nad Morzem Czarnym, zarówno w Rumunii, jak i w Bułgarii.

2) Opanowawszy cały Bałkan, rugują ostatecznie Turków z Europy. Konstantynopol staje się na nowo centrum ludów bałkańskich, poddanych kontroli i supremacji Rzeszy.

3) Rozpoczynają się próby poddania swemu zwierzchnictwu Turcji, bądź to na drodze "wpływów pokojowych" (na podobieństwo Węgier i Rumunii), bądź to na drodze wojny. Atak od strony Morza Egejskiego i Konstantynopola jest technicznie do przeprowadzenia, tym bardziej, że Turcja przez przystąpienie Włoch do wojny, została odcięta od dowozu z Anglii.

4) Opanowanie Turcji pozwoliłoby Niemcom na dojście do bardzo bogatych pokładów nafty w Iraku—i na całkowite okrążenie największych złóż naftowych na Kaukazie.

W ogóle wszystkie posunięcia Trzeciej Rzeszy zarówno na Bałkanach, jak i na Północy—[illegible] są *niczym innym, jak tylko m[illegible]ycznie przeprowadzanym okrążaniem Rosji.* W ostatnich dniach żelazna obręcz niemiecka zamyka się od strony Finlandii. Szef Sztabu armii fińskiej został już wezwany do Berlina, gdzie odbędą się konferencje wojskowe, mające na celu "zabezpieczenie pokoju na Morzu Bałtyckim." Bardzo a bardzo interesujące uzupełnienie paktu o nieagresji z Rosją.

Sytuacja Rosji staje się z dnia na dzień co raz cięższa, a prestiżu Stalina nie wzmacniają bynajmniej ani łodzie podwodne niemieckie, które są już podobno na Morzu Czarnym, ani też zwrot w polityce bułgarskiej, która zdając sobie sprawę ze słabości Rosji szuka oparcia o Niemcy i Włochy.

Niewesołe wieści nadch[illegible] z Francji. Jesteśmy, jak twierdzi prasa w nieokupowanej części Francji—w przededniu zawarcia "pokoju." Na temat tego pokoju wydał marszałek Pétain orędzie do narodu. Wódz tych, którzy skapitulowali stwierdza, że są dwa rodzaje pokoju. Jeden—to twarde warunki, jakie mogą narzucić zwycięzcy. Drugi—to pokój, oparty na współpracy ze zwyciężonymi. Takiego pokoju—według Pétaina—pragnie Francja, chcąca "żyć w najlepszych stosunkach ze wszystkimi swymi sąsiadami." Tak pisze Pétain—*a w tym samym czasie, niecierpliwa prasa włoska domaga się ni mniej ni więcej, tylko podziału Francji.* I w świetle tych artykułów "Giornale l'Italia" nabierają specjalnie brudnych kolorów te wszystkie kombinacje, jakimi kierowali się "realni" politycy francuscy, w rodzaju Lavala i Flandina, pragnący z pogromu ratować, co się da.

Okazuje się, już dzisiaj, do jakiego stopnia tego rodzaju polityka jest zawodna. *Niemcy mogą, a nawet muszą we własnym swym interesie łudzić do ostatka ten nieszczęsny rząd w Vichy.* Hitlerowi chodzi o kolonie, o punkty oparcia dla floty niemieckiej w Marokku i w Dakarze, o wojnę w Egipcie, słowem, o unie*szkodliwienie zarówno floty, jak i wszystkich baz francuskich na Atlantyku i Morzu Śródziemnym.*

I społeczeństwo francuskie budzi się już z tych strasznych złudzeń, które przed wielkim narodem roztoczyli jego mali kierownicy. Zarówno w zajętym przez Niemców Paryżu, jak i kontrolowanym przez Gestapo Lyonie, zdają sobie już sprawę z faktu, że tylko zwycięstwo W Brytanii i narodów, z nią sprzymierzonych może ocalić nie tylko rolę mocarstwową, *ale po prostu niepodległość państwa i byt narodu francuskiego.*

tk

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 5, Portugal St., W.C.2; V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.